

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiecy

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 16 LIPCA 1927 ROKU

NR 29

TREŚĆ NUMERU: Kobiety w Lidze Narodów (dok) — *Marja Sunderland* Inspektorat do walki z brudem i niechlujstwem — *Dr. Herminja Naglerowa*. Na marginesie kilku listów — *M. H. Szpyrkówna* Wiersze: „Przesyt”, „Rocznica”, „Oczekiwanie” — *Hanna Mortkownicówna*. Kaczęta (powieść) c. d — *W. Miłaszewska*. Plantator z Malaty (c. d.) — *J. Conrad*. Monsieur Luki i jego „żona” — *Helena Niemyska*. W zaczarowanym państwie rakiety — *Han. Skar*. Kobieta w świecie i w domu — *R. C. H.* Kronika plastyczna — *b. j.* Z teatrów — Z filmów. — *S. P. O.* Haft bułgarski — *Jadwiga Grudzińska*. Historia chleba i dzisiejsze od niego wymagania (c. d.) — *M. Szadurski*. Kongres higieny i komfortu domowego w Paryżu — *Pani Elżbieta*. Wystawa psów rasowych — *Well*. Zastosowanie amonjaku w domowym gospodarstwie. *J. S.* Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”: „Petites robes” — *Well*. Roboty z drewnianych paciorków. Dodatek powieściowy: „Rąbek zasłony” — *Colette Yver*, autoryzowany przekład *S. Ł.* Arkusz wzorów.

KOBIETY W LIDZE NARODÓW

(dokończenie)

Pani Rachel Crowdy, szef sekcji higieny, na której czele stoi nasz rodak, Dr. Rajchman, jest wybitną działaczką i organizatorką, a nazwisko jej łączy się z akcją przeciwepidemiczną, jaką sekcja sanitarna Ligi Narodów prowadziła na ziemiach polskich. Wiadomo, z jakim nakładem kosztów i sił prowadzona była ta kampanja, uwieńczona zwycięstwem zwalczania zarazy tyfusu i cholery wewnątrz kraju i niedopuszczenia jej ze Wschodu. Wdzięczna Polska wynagrodziła p. Crowdy godnością Komandora odznaki „Polonia Restituta”.

P. Rachel Crowdy nie wyniosło na wysokie stanowisko, jakie w Lidze zajmuje, ani urodzenie, ani majątek. Powodzenie w życiu zapewniła młodej Angielce iście anglo-saska energia, przełamująca nietylko trudności, przesady i uprzedzenia, ale przede wszystkim i zawsze — zły stan zdrowia i wrodzoną wadliwość organizmu. Ta właśnie energia jej, w połączeniu z pierwszorzędym talentem organizacyjnym, pozwoliła młodej dziewczynie, skazanej, zdawałoby się, na życie domowe, stanąć w szeregach oddziałów sanitarnych z chwilą wybuchu wojny. „Mały Komendant”, jak ją nazywano, umiał zjednać sobie szacunek zarówno sanitariuszek, jak i wyższych władz wojskowych.

Po wojnie pani Crowdy oddaje się akcji społecznej na szerokiej arenie Ligi Narodów. Przedewszystkiem organizuje sekcję higieny w sekretarjacie, nawiązawszy kontakt z dwiema instytucjami pokrewnymi: Czerwonym Krzyżem i Międzynarodowym Biurem

Higieny. Pozatem p. Crowdy staje się jednym z najważniejszych znawców kwestji zwalczania opjum, oddając na konferencjach nieocenione usługi. Referuje również sprawy publikacyj pornograficznych i ochrony kobiet i dzieci w czasie podróży.

Wogóle sekcja społeczna i zdrowia Ligi Narodów miała szczęście do kobiet. Obok pani Crowdy, należy wymienić drugą Angielkę, p. Coombe Tenant. Ofiarną i pełną poświęceń pracę p. Tenant nie wywołała ani ambicja, ani temperament, ani też snobizm bogatej damy: — czyny p. Tenant wypływają z najgłębszych uczuć, jakie w sercu matki tylko wywołać może śmierć dzieci.

Szczodrze przez naturę obdarowana wszechstronnymi talentami i zdolnościami, działaczka ta należy do najlepszych międzynarodowych sfer towarzyskich. W jej salonach bywał i Lord Kitchener i sławny, fizyk Oliwer Lodge. Los ją dwukrotnie ciężko dotknął: — śmiercią dwuletniej córeczki, a w wiele lat później ukochanego syna Krzysztofa, który, jako oficer, padł w ataku pod Ypres. Osobiste nieszczęścia uczyniły serce p. Tenant jeszcze bardziej wrażliwym na niedolę bliźnich. Pierwsza strata kieruje ją do współpracy z ruchem emancypacyjnym kobiet w progi więzień i każe szukać zapomnienia własnych cierpień w humanitarnej akcji niesienia ulgi zamkniętym za kratą. Śmierć syna budzi w niej bunt przeciw okropnościom wojny, daje jej prawo moralne przemawiania w imieniu tych wszystkich milionów matek, które



Edith Lyttelton, delegatka na 4-ty Zjazd Ligi Narodów

współ z nią oplakują swych synów. Nazwisko p. Tenant staje się chlubą angielskiego ruchu kobiecego. Pani Tenant zostaje gorliwą działaczką pokoju. Bierze udział, jako delegatka rządu Wielkiej Brytanji, w 3-ym zgrupowaniu Ligi Narodów i jest współpracowniczką komisji 5-ej.

Obok kobiet działaczek i organizatorek wielką rolę odgrywają w Lidze kobiety uczone i artystki. Nie trzeba mówić na tem miejscu, kim jest pani Curie-Skłodowska, której nazwisko związane jest z jednym z największych odkryć naukowych. Ale z całym naciskiem zaznaczyć należy wobec pewnego sceptycyzmu, lub obojętności na sprawy Ligi Narodów, iż ta największa z żyjących polek jest entuzjastyczną zwolenniczką Ligi Narodów i wolny od zajęć naukowych czas poświęca sprawom Współpracy Umysłowej Narodów.

Wojna, bowiem, nie tylko materialnie zniszczyła narody, ale i zburzyła warsztaty nauki i kultury, a odbudowanie tych placówek i przyzwyczajenie ludzi, iż sprawy nauki i kultury tylko łącznym i solidarnym wysiłkiem międzynarodowej społeczności mogą być odbudowane i rozwijane — oto cel, jaki sobie postawiła Komisja Współpracy Intelktualnej. A zaraz obok p. Curie, jako członek tej komisji, znajduje się kobieta-profesor uniwersytetu w Oslo, w Nor-

wegji, p. Krystyna Bonnevie, znana całemu światu naukowemu ze swych prac z dziedziny embriologii i zoologii.

Obok tych kobiet postawić należy kobietę-poetkę p. Helenę Vacarescu, przyjaciółkę królowej rumuńskiej, autorkę zbioru lirycznych pieśni ludowych rumuńskich, który został przetłumaczony na wszystkie języki. Panna Vacarescu była czynną działaczką w ruchu kobiecym w Rumunji i jest członkiem Narodowej Rady Kobiet Rumuńskich. Gorące serce poetki nie pozwalało jej patrzeć obojętnie na cierpienia bliźnich, wzięła więc czynny udział w pomocy dla ofiar wojny. Pracą Ligi Narodów interesowała się od początku jej powstania i w r. 1921 zostaje wybrana jako delegatka - zastępczyni do Zgrupowania Ligi. Odtąd stale uczestniczy w jej pracach, zasiadając w Komisji do Spraw Społecznych; szczególnie zajmuje się sprawą kobiet i dzieci z Azji Mniejszej. Jej przemowa w Zgrupowaniu Ligi pozostanie na długo pamiętną.

Jeżeli p. Forchhammer wyszła z ruchu feministycznego, p. Jeppe wślawiła swe imię pracą misjonarską,—to nazwisko Fru Kjelsberg, norweżki, związane jest z kwestją robotniczą. Była ona pierwszą kobietą inspektorem pracy w Norwegji i przez długie



Rachel Crowdy i Katharine Furse

tramwajach, na podwórzach, klatkach schodowych i w miejscach, o których się nie mówi. Jak Polska długa i szeroka — wszędzie brud, brud, brud.

Mamy teraz energicznego ministra spraw wewnętrznych, który zabrał się dzielnie do czyszczenia polskiej stajni Augiasza (bez przenośni), ale „nec Hercules contra plures“ — czyli: nie na wiele zdadzą się podróże inspekcyjne, groźne rozporządzenia i dotkliwe kary, skoro tylko sam pan minister jest — jedynym fachowcem w dziedzinie czystości i porządków.

— Bo to i owszem, panie dzieju, minister ma rację: trzeba przecież jakoś z tą higieną, z tymi brudami, co to z dziada pradziada nawarstwiają się i gnoją we wszystkich kątach naszej ojczyzny. Ale nie wiadomo, czy zabrać się do tego z widłami, z miotłą, czy z — elektroluksem? Trzebaby w tej materji rozpisać ankietę, rozesłać kwestjonariusze do biur i urzędów, a potem dopiero ustalić procedurę porządkowania, a nie tak — łap cap — spadać komuś na kark!

Tak oto rezonuje zafrasowany urzędnik, któremu właściwie wśród brudnych ścian i zakurzonych kątów biura nigdy dotąd na myśl nie przyszło, że powinno być inaczej. Woźny zasmoloną onucą jakoś tam raz na parę dni pogmerał po „posadźce“, zdmuchnął tęgim oddechem kurz z krzesła i było dobrze. Oczy przywykły już do drzwi i ram okiennych, zaklajstrowanych potem i brudem palców, a nawet sam pan szef, w chwilach siesty — patrzył z lubością na szare pasma kurzu, rysujące się z nieomylną symetrią na firankach i portjerach.

Jeszcze więcej zamięłowania i — że tak powiem, przywiązania do brudu okazują na dworcach, a pewna doskonałość w tymże kierunku ujawnia się w wagonach kolejowych. Tam to okna są ślepe na wszelkie pejzaże, podłoga tylko bardzo pobieżnie obcuje ze szczotką, a o wodzie i mydle śni nigdy na jawie nie iszczący się miraż. Plusze na ławkach zieją kłębamii pyłu, niczem wulkan Fudzijama. Popielniczki i spluwaczki przechowują z pietyzmem niedopałki i bakcyle, a w toaletach fabrykują się wieczne amonjakowe wonie.

W „przedsiębiorstwach prywatnych“, zwłaszcza w tych, które karmią drogo, a niestrawnie publiczność, kultywuje się miljonowe armje karaluchów i tym podobnych bydlątek; w hotelach żywią się dobrze pluskwy, a w sklepach spożywczych popuszczają pasa — szczurzy i muchy. Okazujemy wielką tolerancję dla wszelkiego rodzaju stworzeń od dwu — do stużnych. Dla nich to, przede wszystkim, czem chata bogata, tem rada.

I dlatego walka, której się podjął p. minister, jest zgóry skazana na porażkę. Konserwatyzm polski będzie bowiem długo jeszcze konserwował brud i niechlujstwo, niczem jakąś świętą tradycję, jakieś nie-naruszalne tabu. Zarządzenia p. ministra napotykają cicho i głośno warczącą opozycję, wytrwały bojkot,

bierny opór. Opozycjonistów możnaby, zresztą, podzielić na dwie kategorie: na takich, którzy nie chcą zastosować się do „nowych porządków“ i takich, którzy dla świętego spokoju możeby coś i zrobili, ale nie mają pojęcia, jak się zabrać do tej „hańbiącej“, babskiej roboty.

Zważywszy więc, że jedna tylko osoba p. ministra nie podoła tak rozległemu zadaniu i że sprawa wymaga długoletniego wysiłku — proponuję: stworzenie specjalnego urzędu, coś w rodzaju inspektoratu czystości, albo inspektoratu do walki z brudem i niechlujstwem. Obowiązkiem takiego urzędu byłby stały nadzór nad gmachami rządowymi, lokalami publicznymi, a nawet prywatnymi mieszkaniami w całej Rzeczpospolitej. Nie wystarczy bowiem dorywcza inspekcja wysokich władz, nie poradzi też na to żadna akcja prywatna, gdyż nasze krnąbrne i niewydyscyplinowane społeczeństwo trzeba ująć w karby systemu, dobrze zorganizowanego i wspieranego przez państwo.

I tu właśnie miałyby przede wszystkim kobiety duże pole działania, gdyż nie ulega wątpliwości, że w dziedzinie racjonalnego i umiejętnego „porządkowania“ kobieta jest, bądź co bądź, fachowcem, a mężczyzna — laikiem.

W każdym gmachu rządowym jest t. zw. administrator, który gmachem zarządza, dba o jego konserwację, o czystość biur i t. p. Podlegający administratorowi sztab woźnych jest tym organem wykonawczym, robiącym „porządki“. Oczywiście, robi się te porządki indywidualnie, po swojemu, bylejak, gdyż administrator nie zna się na tem. Wyniki tej „gospodarki“ skłoniły przecież p. ministra spraw wewn. do wydania gromkich okólników. A jednak, ku obronie panów administratorów, trzeba rzec, że ich przewiny wynikają z nieznamomości zadań, które im obarczono. Urząd administratorów jest przecież — w znacznej mierze — pracą par excellence kobiecą!

Niemniej też powinno się zorganizować specjalne urzędy w samorządach, gdzie kobiety spełniałyby funkcje inspektorek porządku. Zadaniem tych urzędniczek byłoby wizytowanie lokali i domów, oraz wygłaszanie odczytów, pouczających o znaczeniu czystości pod względem higieny, kultury i estetyki. Centralny państwowy inspektorat do walki z brudem i niechlujstwem w Warszawie mógłby wydawać pismo, które rozpowszechniałoby zasady czystości i propagowało nowe metody, ułatwiające utrzymywanie porządków.

Zasadniczo nie jestem wprawdzie zwolenniczką podziału pracy na męską, i żeńską, ale narazie, zanim się wyszkolą zastępy mężczyzn, kobiety mogą w walce z zakorzenionem u nas niechlujstwem oddać większe usługi. Utrzymywanie czystości w domu było przecież doniedawna jedynym i wyłącznym zakresem pracy kobiet. Nie trzeba więc dowodzić, że kobieta posiada w tej dziedzinie doświadczenie

i wprawę, że zna arkana tej żmudnej i skomplikowanej roboty. Mężczyzna, natomiast, nietylko jest w tych sprawach dyletantem, ale, jak dotąd, żywi do tego rodzaju zajęć pogardę i niechęć. Nie wątpię, że to się zczasem zmieni, ale dziś, w tej chwili, fachowość

kobiety musi być wzięta pod uwagę i zużytkowana do przeprowadzenia ważnego zadania, które zainicjował p. minister.

Rzucam ten projekt pod rozwałę pana ministra Składkowskiego.



M. H. SZPYRKÓWNA

NA MARGINESIE KILKU LISTÓW

Polska niechętnie pisuje listy. Nie mam pojęcia, dlaczego tak się dzieje, ale wiem napewno, że sama wolę w ostatecznym razie depeszować, niż bez ostateczności napisać zwykłą pocztówkę. Moznaby to zjawisko odnieść do warunków atmosferycznych, z lekkiej ręki radjo, które teraz zawsze i wszystkiemu jest winno, ale nie idzie o odniesienie do tego, lub owego, tylko o stwierdzenie, że tak jest. I otóż przy tym nawet piórowstręcie zdarzyło mi się ostatnio dostać kilka listów od nieznanich przeważnie korespondentek z jednym motywem specjalnym: brak odpowiednio „kształcących“ książek, na jakie się uskarża prowincja. „Czegoś, coby mówiło niebardzo uczenie o wyrobieniu charakteru i obowiązkach człowieka“. I jeszcze: „Żeby mówiło nietylko o tem, jak było kiedyś, tylko jak jest dziś, bo o tej dzisiejszej Polsce i jak trzeba żyć, to my prawie nie wiemy“.

Muszę przyznać, że się serdecznie z tych pretensji ucieszyłam. Ktoś w Polsce z dobrej woli mówi o wyrobieniu charakteru, o tem, jak trzeba żyć! Nadzwyczajne! Albo byłam pesymistką, albo też nie szczęśliwie trafiałam, ale nie miałam nigdy wrażenia, żeby ludzie u nas lubili być pouczeni o czemkolwiek — bądź, poza rozkładami jazdy. Ktokolwiek skończył szkołę i zarabia na życie, broń Boże, sam, ma dość już wszelkich nauk i nie chce, — słowami innej korespondentki, — aby go „za własne pieniądze ciągle jeszcze uczyli i uczyli“.

I może — ma, co do tego, rację! Nasz system szkolny jest tak szalenie przeładowany forsownie wpychaną w głowy pacjentów wiedzą szkolarską, której przetrwać wcale nie ma możliwości, że jak po niestrawnym obiedzie, zostaje nam na długo poczucie awersji, ustępujące tylko na rzecz specjalnie ulubionych tematów. Kursa doksztalcające u nas są zawsze częściowo wytworem ludzi oświeconych, nie tych, którzy pragną oświaty: a magistrackie, przymusowe, niejako, doksztalcenie jest aż nadto często niechętnie

zbywaną pańszczyzną. Kiedy sobie przypomnę Amerykę (wiem, że się narażę z tą ciągłą Ameryką, no ale cóż, kiedy tak mi się właśnie udało, jak żaden inny kraj pozatem!) Amerykę z jej szalem wykładów wieczornych, bezpłatnych, półpłatnych, płatnych i dopłacanych, od których się mrowią wielkie miasta, a które, mimo to, są zawsze pełne, pełne, pełne. Tam człowiek wczesnie idzie do zarobkowania i szkoła zostawia dużo miejsca na wiedzę dalszą, gdyż to, czego uczy, jest w olbrzymiej mierze praktycznie zastosowane do życia — do tego „dzisiejszego“ właśnie, jak słusznie żąda jedna z moich korespondentek, życia. Amerykanin nie będzie często wiedział, jak to sto lat temu było na półwyspie Bałkańskim, ale znakomicie wie, jak się przedstawia ekonomicznie, społecznie, narodowościowo czy podatkowo jego własna Ameryka dziś, i co on, poszczególny Bill czy Sam, powinien robić, aby wzrosnąć w dobrobyt i przysporzyć korzyści swemu państwu. Tego go uczy od małego dziecka ochronka, szkoła, dom i życie. Tam mali skauci na ulicach pod dozorem dużych policjantów uczą się normować ruch uliczny i przeprowadzają małe dzieci. Tam półki księgarskie uginają się od książek — tych właśnie, których u nas niema, lub jest mało: o nauce życia. O wyrobieniu osobistem. O dobrym obywatelu państwa. O dobrym obywatelu świata.

Książki te są pisane dla — dorosłych, którzy się jeszcze chcą czegoś nauczyć, a tem czemś jest głównie własny ich rozum i wola, zdolne — w myśl popularnych teorii Mulforda i jego szkoły, — zdziałać cuda. I jeszcze jedno: nie są pisane za mądrze. Bo czytać je mają ludzie nie nawykli, a w każdym razie — odwykli już od pracy umysłowej, i mędrkowanie tylko by ich znużyło. Są proste. Krótkie. Doskonale wydane, bujny druk, szeroki margines, dużo światła. Takie właśnie, jakieby się napewno podobały — i postokroć słusznie — pani, która chce, aby były pisane „nie-

bardzo uczenie". Takie, jednym słowem, których brak daje się u nas widocznie już odczuwać.

I oto, mimo wszystko nie pisałam o tem może, gdyby nie jeden z pośród otrzymanych listów pani, która się podpisuje tylko literami „M. K.“ i nazwą jednego z miast na Pomorzu. Dostaję nieraz takie listy na rozmaite zabłąkane adresy, a muszę wyznać, że przeważnie są miłe. Rzadko się trafiają listy z pretensją.

Może dlatego, że właśnie Polska pisuje z trudnością? Dość, że tak jest. A oto od p. M. K. dostałam list z pretensją przez to dziwną, że jak—rozważyłam sobie po pierwszej chwili buntu,—obie mamy rację, jakkolwiek racje te są różne—i charakterystyczne do poruszonego wyżej tematu: braku książek w dziedzinie dydaktyki publicystycznej.

Nieznana moja adwerserka jest jednak doskonale w kursie wszystkiego, co piszę, aż do artykułów w „Bluszczu“ włącznie: wymienia prawie wszystkie moje książki, w słowach nawet bardzo pochlebnych, i pisze na końcu:

„Dlaczegoż, pouczając w artykułach o Ameryce, i uspołecznieniu, i różnych sprawach narodowych, książki swoje pisze pani wyłącznie na tematy powieściowe, i nawet bardzo sensacyjne? Widocznie, tajemnice masonskie lepiej się jednak opłacają od poważnej, narodowej książki! Takiej, żeby można ją było przeczytać głośno i memu ojcu, który ma siedemdziesiąt lat, i memu synowi, który ma siedemnasty, i każdemu, kto wtedy się nadarzy! Nasi literaci takich książek nie chcą pisać, bo im się nie opłaci. A gdyby pani właśnie społeczną, czy narodową książkę napisała, czytałoby ją wielu ludzi, jak wszystkie inne, które znam. I dobrawdy z większym pożytkiem, niż najciekawszą powieść!“

Makuszyński w tem miejscu pewnoby powiedział, że zalała go zła krew, ale mnie nie wypada. Ale, o siostry-czytelniczki, społeczniczki, lub nie! Zrozumieście, że zbuntowałam się w sercu mojem, z tej najkomiczniejszej przyczyny (ale komizm jej wynalazłam dużo potem, po zżuciu gorzkiego słówka w kierunku dalekiego Pomorza) — że książkę taką — właśnie taką, mianowicie taką, dosłownie taką: — społeczną, narodową, rodzinną i samokształcącą.. napisałam! („Godzina Bije“.) Napisałam, wydałam, Ossolineum ją w zimie wypuściło w świat, co można sprawdzić w oknach jego księgarni,—recenzenci o niej

napisali dużo pochlebnych odezów ku mojej nieklamanej ucieście, — wzięłam za nią istotnie dwa razy mniej pieniędzy, niż za powieść, ku memu nieklamannemu zmartwieniu — i już nie poraz pierwszy bynajmniej przekonywam się, że publiczność, znająca wszystkie, lub wiele z pośród moich błahych powieści, o tej jednej właśnie... absolutnie i pogodnie nie wie — jak i pani M. K. z Pomorza — nic a nic? Czy to wyjaśnienie złagodzi urazę mojej nieznannej korespondentki? I czy zrozumie teraz komiczny konflikt, polegający na tem, że napada na mnie w dobrej wierze za uchylanie się od książki, jaką — jej zdaniem — powinnam napisać, podczas gdy tak właśnie uczyniłam, a przeciwnie to ona, znając wszystkie moje „masonskie tajemnice“ — tej jednej właśnie, której poszukuje, nie zna?..

Tyle — pro domo sua. Ale jest to znakomitem uchyceniem dziwnego bakcyła księgarskiego, który sprawia, iż najgłupsza beletrystyka u nas znajdzie zawsze pole do popisu, a tak zwane „rozważania“ — na ten, czy inny temat — są w stadjum obłożnego niedomagania. Chciałabym raczej napisać: były. Bo jednak, skoro nie lubiące pióra czytelniczki z prowincji ujmują je poto, aby w tej, czy innej formie, upomnieć się o trochę strawy dla ducha, — to już dzień! Któraś recenzja dość zjadliwie mi zarzuca, co do tejże książki, że „p. Szpyrkówna w swojej nowej, na wzór amerykański napisanej, książce „Godzina Bije“ podaje szereg trzyminutowych nauk, jak żyć należy.“ I to jest prawda!

Nie wiem, czy w jakakolwiek beletrystykę włożyłam tyle przemyślenia i twórczej pracy, aby uczyć z ciężkiej kolubryny społecznej owe „trzyminutowe“ lekkostrawne „nauki“. Pisałam je głównie dla młodzieży, która jest przeciążona nauką, więc ma dość ciężkości — albo dla ludzi, którzy już wyszli z intelektualizmu i chcą przy książce wchłonąć to, co daje bez męczących wysiłków. Czy te „amerykańskie kazania“ znajdują drogę do polskiej publiczności? Przyznam się, jestem pewna że: tak! Tylko... trzeba, widocznie, czasu, zanim dotrze do nienawykłych do takich książek u nas wydawców i do nie wiedzącej nawet, że wyszły, publiczności. A żałuję, że p. M. K. nie podaje mi swego adresu: skłonna byłabym wstawić się w Ossolineum, aby wysłano jej jeden egzemplarz... gratis. Jako premję za wszystkie inne zacytowane utwory.



HANNA MORTKOWICZÓWNA

PRZESYT

Od wygody doznania, od rozkoszy dosytu
Niebo zasłania oczy ciężką płachtą błękitu,
Miękką ziemia pod stopą ugina się posłusznie,
Bez kwitnie fjołkowo i pachnie coraz duszniej.

Od najczulszej przyjaźni, od serdecznych zapewnień
Śmiech gra nam w głębi piersi ckliwo, cicho, niepewnie,
A czas, którego godzin nikt nie chwytą, nie liczy,
Przelewa się przez życie mdłym strumieniem słodyczy.

Od pieśczoł, od uśmiechów, od najmilszej niewoli,
Serce wolniej uderza i bardzo rzadko boli,
Pod opieką rąk słabych, co bezsilnie obwisły
Śpią w równym świetle szczęścia: serce, myśli i zmysły.

Aż nagle — coś zakrzyczy! Aż nagle — ktoś zawoła!
Aż nagle pryśnie obręcz, tęczowa kłamra koła.
Runie, aby nas zgubić i aby nas wybawić
Piorun, jak miłość krwawy, jaskrawy jak nienawiść!

ROCZNICA

Zieleń żółknącej darni, miłości purpura
I wspomnienia rąk białych rozwiane jak dymy,
Znów nadeszła rocznica — niewiadomo która.
Znowu przechodzą lata — już ich nie liczymy.

Co rok kładziemy kwiaty na grobowej płycie,
Marmur się powyszczerbiał, litery zatarły.
Od skarbu swej miłości, tak dawno umarłej,
Odchodzimy wciąż dalej w nasze własne życie.

Szczęście nas naprzód woła, praca naprzód pędzi,
Coraz słabszym ogieńkiem wspomnienie się pali,
I nie wiemy już sami, czy nikniesz w oddali,
Czy czekasz, by nas spotkać na tamtej krawędzi?

Czy łączy, czy rozdziela czarne znamię krzyża,
Co jest wieczne rozstanie, co krótka rozłąka?
Czy od twych rąk najdroższych, rąk w białych koronkach.
Nurt życia nas oddala, czy może przybliża?

OCZEKIWANIE

Z początku tysiące pragnień tańczy i drży pod powieką,
I mówi się z śmiechem: „Jest wczesnie, jeszcze jest bardzo daleko!”
Potem jest później, jest bliżej, trzepoczą się trwożnie oczy
I mówi się: „Przyjdzie odrazu, nagle, znienacka zaskoczy!”
— „Tylko nie trzeba czekać, nie trzeba się spodziewać”.
Wtedy już usta milkną — serce zaczyna omdlewać.
Serce zaczyna szaleć, serce przewidzieć się stara,
Zdyszane jego bicie prześciga kroki zegara,
Śpieszy się, cofa i biegnie, staje i drzeć zaczyna.
I wtedy bije powoli wielka spiżowa godzina!
Nadchodzi jak głośny hejnał — odchodzi zbędna i sama!
Nie trzeszczą na schodach kroki, nie skrzypi otwarta brama,
Minuty, jak krople znoju kapią w nieznośnej ciszy.
Niepokój zrywa się nagle, słucha i... nic nie słyszy!
— Potem już wszystko jedno, potem już wszystko minie.
Nadejdzie noc niepotrzebna o niepotrzebnej godzinie.
Krew gęsta w ucichłym sercu zacznie powoli zapiekać
I stanie się wiadome, — że niema już naco czekać!



W. MIŁASZEWSKA

2

KACZĘTA

(powieść)

26 marca.

Rozpisałam się wczoraj, aż usnęłam przy stoliku. Budzę się — na moim dzienniczku kleks, a zegar bije trzecią. Myślę sobie — trzecia? Jakże? Przecieram do brze oczy, patrzę na skazówki uważnie... Rzeczywiście, trzecia była. Myślę sobie: ładnie! To o szóstej trzeba wstać, chłopcom i Adelci śniadanie przyrządzić, a ja się tłukę, jak Marek po piekle, wspomnieniami głowę zaproszam i jeszcze daremnie naftę wypalam, o którą tak trudno!

Dawniej człowiek, choć nie bogacz, nie potrzebował się z taką rzeczą liczyć. Ot, kupiło [się ten garniec nafty za byle co, i było. Ale teraz! Niech Pan Bóg zachowa, co to za czasy! Jużtoby się Antosia nadziwić nie mogła, gdyby żyła... Widział kto płacić funt chleba sześć marek, albo i mięsol.. Ja Teofilowi i mówić nie śmiem, żeby dawał pieniędzy więcej, bo to, co jest, nie starczy. Ot, łatam, jak mogę. Mięso daję najczęściej siekane. Chłopcy zajęci, Teofil też, zjedzą — nie rzekną słowa. Czasem Adelka nosem pokręci, ale ona o wstażki więcej dba, niż o obiad... Całe szczęście... Bo gdyby napomknęli, a jeszcze Teofil, — jak to dawniej, za Antosi życia bywało... Jezu, pod ziemiębym się chyba zapadła! Ale co ja poradzę? Oszczędności, co miałam, to wydałam. Teofil się tam w gospodarskie sprawy nie wdaje; tyle, co pieniądze na pierwszego przyniesie i pyta: dość będzie? Już się oddawna zbieram powiedzieć, że nie dość, ale mi odwagi zawsze zbraknie. Et, łatam, jak mogę. Dawniej się brało 5 funtów mięsa, teraz trzy. Ja tam niewiele co jadam. Jedynie czasem dla Marcuszka malutki befsztyczek usmażę, ale bo doktor zalecił, żeby się chłopiec dobrze odżywił.

Ale znów zesłałam z drogi w tej swojej gadaniu. Tak to teraz ze mną! Starość, niema co!

A chciałam zapisać coś bardzo ważnego, dlatego nawet dziś się do dzienniczka znowu zabrałam, bo przecie nie zawsze, jak wczoraj, czasu tyle wynajdę...

To, żem się tak wczoraj zasiedziała do późna i jeszcze usnęłam przy stole, to było widocznie losowe. Ledwie oczy przetarłam i godzinę zobaczyłam, aż tu słyszę: skrzyp, skrzyp, po schodach. Tak mię coś skorciło posłuchać i poczekać, gdzie zmilkną kroki. W każdym razie przez głowę mi nie przemknęło, żeby do nas kto szedł o takiej godzinie. A tu właśnie, jak raz! Słyszę, w zamku się klucz obraca, powolutku, cichutko — a potem kroki w przedpokoju człap — człap.

Wypadam — i kogo widzę? A, to mój Tomeczek po nocy się rozbija?!
Myślałam, że się chłopak choć zająknie ze zmieszania, a on — nic. Najbezczelniej prosto mi w oczy patrzy i powiada, ziewając:

— To ciocia jeszcze nie śpi?

— Nie — mówię — nie, na ciebie, widzisz, czekałam.

Dopiero Tomek oczy szerzej otwiera.

— A? Stało się co? Zachorował kto? Niech ciocia prędzej mów!

Wtedy już wytrzymać nie mogłam, wyszłam z siebie z oburzenia na taką beczelność.

— O której ty do domu wracasz?! To ładne rzeczy! To się ojciec ucieszy, jak się dowiel No!

I trzęsę go za ramiona. Dopiero, jak się Tomasz nie zacznie śmiać! Pod boki się wziął i mało ze śmiechu nie upadł.

— Ha ha! — powiada — to ciocia, niby na mnie, z reprimendą! — ha ha! A ile ja, proszę cioci, mam lat, bo może ciocia nie pamięta?

— Jakże — mówię — nie pamiętam? Dwadzieścia.

— Ha ha! — woła znów Tomek, aż drzwi przyknęłam od jadalni, boby się wszyscy pobudzili. — To może mię ciocia do kąta postawi, co? Niegrzeczny Tomcio! Spać nie chce iść! Zmartwienie cioci sprawiał

Dopiero zaczęłam rozumieć, jakoś mi trochę w głowie zaświtało. Pewnie. Przecież to nie dziecinek pięcioletni, co się mego fartucha trzymał i płał, że mama nie wraca z cmentarza...

Już nawet nic powiedzieć mu nie mogłam więcej, bo mi jednocześnie i wstyd było, i żal, i smutno, i rzewnie, i jakoś nieswojo. Dodałam tylko:

— Ja wiem, ja wiem, żeś już dorósł, Tomku. Wszyscyście dorośli, a ja stara, widocznie zdrowy rozum tracę...

I sama nie wiem, jak się to stało, ale mi łzy popłynęły gradem po twarzy.

Pocziwy Tomek. Trochę on szorstki, ale mię zaraz uściskał i powiedział coś, żebym sobie głowy nie zawracała głupstwami.

Pewnie. Pięćdziesiąt lat kołaczę się po świecie, a czasem patrzę na świat, jak niemowlę.

Tylko, ot, jak pomyślę, że te dzieci, com je wychowała, wypielęgnowała, już wyrosły na ludzi, to mi coś, jakby żal, serce ściska.

Myślę sobie wtedy: a może ja im już niepotrzebna? Póki to było małe, póki się tłukło po domu, czepiało sprzętów, nabijało guzy — to ze wszystkim

do cioci: Ciocia Juścia poradzi, ciocia Juścia naprawi, ciocia Juścia pocałuje, przytuli, cukierka da. A teraz:— co się ciocia wtrąca?! Niech ciocia swoich spraw pilnuje, śmieszna ciocia jest, zacofana; przesady, co ciocia mówi...

Może. Może i tak. Oni młodzi, świat się do nich śmieje, ten inny, nowy, ten ich świat. Idź, ciociu, do pudełka, za szkło, ze swoim rozumowaniem!..

Ot, pewnie, że tak. Zajrzałam wczoraj do tej mojej szkatułki, a tam dzienniczek leży, uśmiecha się do mnie pożółkłymi kartkami papieru... Każda kartka się do mnie uśmiecha: jedna smutniej, druga weselej, a każda mówi to samo: pamiętasz, wiele to już lat? Pisała je młoda dziewczyna, Justynka. A teraz nad szkatułką łzy wylewa stara ciotka Justyna, albo ciocia Juścia, jak mówią dzieci.

To Mareczek mię tak nazwał, jak był jeszcze zupełnie malutki, a za nim wszyscy inni zaczęli. I tak już zostało.

20 kwietnia.

Co ja mam z tymi chłopcami! Staś, trzpiot, prawda, ale choć uczy się dobrze. Ja nie rozumiem, jak ten chłopiec przechodził z klasy do klasy, bo nigdy do książki nie zajrzał. Co się nie naprosiłam, nie nabłagałam!..

— Stasieczku — mówię mu — ucz się, ucz się, dziecko moje! Jak egzaminy przyjdą, to skąd będziesz umiał wszystko?

— Z powietrza! — odpowie na to, albo kiwa się na krześle i mówi ze śmiechem:

— To ciocia nie wie, że ja od wróbli na dachu słyszę, co zadane? A jeden taki, z czarnym łebkiem, zawsze mi podpowiada, z czego mię profesor wyrwie!

Oburzyłam się na to, a on nic, tylko ze śmiechu trząsł się na swoim krześle, aż straciłam cierpliwość.

— Poczekaj, — mówiłam, — przyjdzie matura, to dopiero zaśpiewasz cienko, jak nie zdasz.

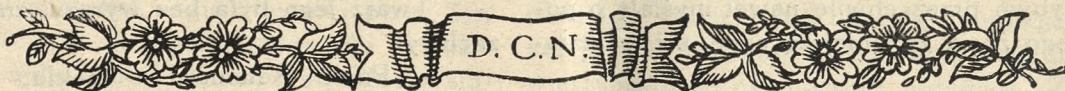
— Mnie i tak matura niepotrzebna, bo ja prosto ze szkoły pójde do wojska.

— Powiedz to ojcu, powiedz.

— Phi! Furda ojciec! A do wojska pójde. Jak ojciec zabroni, to ucieknę, a jak mię tam gdzie utłuką, to i tak będziecie płakali po mnie, czy będę, czy nie będę miał matury!

— Żeby cię Pan Bóg nie skarał za takie bluźnierstwa, — groziłam chłopakowi, ale mię zawsze mróz przejmował. Kto wie? A może on naprawdę spełni te swoje groźby i do wojska ucieknie. A co wtedy? Taki chłopak, jak Staś, to do wszystkiego zdolny. On się niczego nie boi, ani ojca, ani egzaminów; czasem, jak coś o Bogu się odezwie, to mię aż ciarki przechodzą i żegnam się ukradkiem, żeby odgonić precz złe moce. Bo choć wiem, że Staś nie żaden niedowiarek i że ma tylko na języku takie paskudztwa, to przecież i djabeł nie śpi, z każdej okazji korzysta, by duszę niewinną do piekła zawlec.

Wszystkie te moje obawy nadaremne się okazały. Bo Staś jakoś sobie radę ze szkołą dać umiał, a w tym roku do matury siada i ma taką minę, jakby dla niego maturę złożyć było to samo, co zjeść karmelek. Z wojskiem też jakoś narazie ucichło, chociaż ja mam podejrzenie grube, że on się z kolegami w politykę wdaje. Chciałam nawet Teofilowi o tem mówić, ale dałam pokój. Teofil mężczyzna, przytem ojciec — to już powinien sam na takie sprawy baczenie dawać.



J. CONRAD

16

PLANTATOR Z MALATY

Autoryzowany przekład Teresy Tatariewiczowej

— I ja zastanawiałem się nad tem — rzekł Renouard i, podniósłszy wzrok na pannę Moorsom, zauważył, odbijające od bladej jej twarzy, purpurowe konchy uszów, i ciemny, jakby tajemniczy blask jej oczu pod wijącemi się płomieniami włosów.

— Przeklinał kobietę, która nie chciała uwierzyć w jego uczciwość... Tak, zapewne myślał o pani. A teraz pani nie chce mi wierzyć — mnie, który muszę pozostać tem, czem jestem, choćby to miało być

przyczyną mej śmierci. Nie! nie wierzysz mi. Ale pomyśl, Felicjo, że taka kobieta, jak ty, i taki mężczyzna, jak ja, nie często spotykają się na tym świecie.

Blask jej dumnej głowy palił mu twarz. Odrzucił kapelusz i, gdy spuścił powieki, uderzającym się stało podobieństwo jego do starożytnego bronzu, do zlekką pochylonego w cieniu skały, spokojnego, surowego profilu Pallady.

— Gdybyś tylko mogła zrozumieć, jaka prawda jest we mnie! — dodał.

Milczała, jakby zdziwienie odjęło jej mowę; ale gdy podniósł wzrok na nią, z niezwykłą siłą zaczęła się bronić, jakby się broniła przed niewypowiedzianym zarzutem.

— To ja stoję tutaj w obronie prawdy! Wierzyć panu! Ja mam wierzyć panu, który, posilkując się bezlitosnym kłamstwem — niczem więcej, słyszy pan, niczem więcej, — sprowadził mnie tutaj, zwiódł mnie, oszukał, jak w marnej farsie!

Siadła na kamieniu, z brodą opartą o rękę, w pozie wyrażającej smutek, i zaczęła użalać się nad sobą.

— Tego tylko brakowało! Dlaczego, och! dlaczego szpetota, śmieszność i podłość stają zawsze na mej drodze!

Na tych wysokościach, sami w obliczu nieba, rozmawiali ze sobą, jak gdyby ziemia zniknęła im z pod stóp.

— Czyżby się pani użalała nad swoją dumą? On miał mierną duszę; życie z nim byłoby niegodne pani.

Nie uśmiechnęła się nawet na te słowa, lecz pełna godności, odwróciła się ku niemu z wolna, jakby uchylając rąbek zasłony.

— Czy pan sobie wyobraża, że dla takiej przyczyny byłabym mu się poświęciła? Czy pan nie wie, jakie zadośćuczynienie byłam mu winna? To mój święty dług i najważniejszy obowiązek. Nie w mojej mocy było go ocalić, ale on przecież był niewinny — musiałam więc pierwsza wyciągnąć do niego rękę. Czy pan nie rozumie, że nicby go tak nie zrehabilitowało w oczach świata, jak małżeństwo ze mną? Gdybym mu oddała swą rękę, niktby się nie ośmielił powiedzieć coś złego o nim. Znienawidziłabym chyba samą siebie, gdybym przez chwilę nawet myślała o poświęceniu swego życia za mniejszą cenę, niż los człowieka.

Mówiła to z powagą i spokojem swym głębokim, czarującym głosem. Renouard rozmyślał posępnie, jakby piękny sfinks, napotkany na rozdrożach życia, zadał mu ponurą zagadkę.

— Tak. Ojciec pani miał słuszną rację. Pani jest arystokratką.

Wyprostowała się z godnością.

— Co pan mówi? Mój ojciec... Ja, arystokratką...

— Och! nie dowodzę bynajmniej, aby pani była podobną do ludzi z czasów zbroic, warownych zamków i bohaterskich czynów. Och! nie! Oni mieli tradycje, do których byli przywiązani, żyli na ziemi, na tym padole namiętności i śmierci, a nie w cieplarni. Dla pani byłoby to plebejusze, gdyż przewodzący pospólstwu, które rozumieli i narówni z niem cierpieli. Zaliczam panią, poprostu, do górnych warstw społeczeństwa, pogardliwych i wyniosłych; pani jest pianką, bańką powietrza, unoszącą się ponad bezmierne mi głębinami, które kiedyś odrzuca panią poza gra-

nice istnienia. Lecz jesteś sobą! Sobą samą! Jesteś uosobieniem wiecznej miłości — lecz, o boska, to nie twoje ciało, to dusza powstała z piany morskiej.

Słuchała, jak we śnie. Zdołał się tak opanować że nie tylko namiętność, ale i życie zdawało się w nim zamierać. W tej chwili miał uczucie, że przemawia do niej już po śmierci. Lecz powracająca gwałtownie fala namiętności, dziesięciokrotnie silniejsza, rzuciła go ku niej z otwartymi ramionami i pałającymi oczami. Poczowała, że Renouard podnosi ją z ziemi w ramionach, jak piórko, bezradną, niezdolną do walki. Uścisk ten był oszałamiający, jak zbytek szczęścia, który sam siebie niweczy. Ogień, płynący w jego żyłach, w popiół zmienił namiętność, a jego samego wypalił docna, pozostawiając go bez sił, prawie bez pragnień. Puścił ją, nim zdążyła krzyknąć. Była tak przyzwyczajona do form towarzyskich, tłumiących brutalne popędy pierwotnej ludzkości, że nie wierzyła w ich istnienie, jak gdyby były przebrzmiałą już legendą. Nie zrozumiała właściwie, co się zdarzyło. Wydostała się z jego ramion bez szwanku, bez walki, nie przestraszyła się nawet.

— Co to ma znaczyć? — zapytała dotknięta, lecz jak zwykle pogardliwa i spokojna.

Ukląkł w milczeniu i pochylił się do samych jej stóp, podczas gdy ona spoglądała na niego trochę zdziwiona, lecz bez gniewu, jak gdyby była ciekawa, co on robi. Gdy pochyłony do ziemi, przyciskał do warg rąbek jej sukni, poruszyła się zlekka; wówczas powstał.

— Nie — wyrzekł — gdybyś nawet zupełnie do mnie należała, nic mi z ciebie bez twej zgody. Nie można zdobyć widma, zimnej mgły, marzenia, złudy. Musisz sama przyjść i przyłgnąć mi do piersi, a wówczas, ach! wówczas..

Twarcz jego była bez wyrazu, znikł z niej nawet zachwyt.

— Panie Renouard — rzekła, — choć nie ma pan prawa do mojego szacunku, oszukawszy mnie niegodnie, chcąc, widocznie, nacieszyć się dłużej widokiem moim — swej przyszłej ofiary, muszę jednak powiedzieć panu, że nie jestem tak niezwykłą istotą, za jaką mnie pan uważa. Niech mi pan wierzy: w tym wypadku chodzi mi tylko o prawdę.

— Co mnie to może obchodzić, jaką jesteś? — odparł.

— Na jedno skinienie twoje byłbym gotów dostać się aż do siódmego nieba i przynieść cię stamtąd na ziemię, dla siebie, na własność. A gdybym cię ujrzał zanurzoną aż po usta w występku, w zbrodni, w błocie: — poszedłbym za tobą, wyniosłbym cię na rękach i przyciskał do piersi, jak skarb bezcenny. Taką jest miłość — prawdziwa miłość, — dar i przekleństwo bogów; innej miłości niema.

Akcent szczerości, który zabrzmiał w jego głosie, zmusił ją do cofnięcia się zlekka, los bowiem nie stworzył jej do słuchania takich słów; oburzały ją.

Zmieszana, a może zasugerowana brzmieniem jego nazwiska, lub może dla załagodzenia tego, co miała powiedzieć, gdyż w głębi duszy była wzruszona, rzekła po francusku:

— Assez, j'ai horreur de tout cela.

Zbladł tak, że aż mu wargi zsiniały, ale już nie drżał. Kości były rzucone i nic, nawet przemoc, nie mogło losu odmienić. Przeszła mimo niego, nieugięta; podążył za nią wdół ścieżki. Po chwili usłyszała go, mówiącego:

— A więc pragnieniem pani jest wpłynąć na przeznaczenie człowieka?

— Tak — odparła krótko, z pewnością siebie, do jakiej tylko kobieta jest zdolna.

— Niech się więc pani cieszy:—udało się to pani.

Wzruszyła zlekka ramionami, lecz nim doszła do końca ścieżki, zwolniła kroku, zatrzymała się i, zwróciwszy się ku niemu, rzekła:

— Przypuszczam, że nie pragnie pan, aby się ludzie dowiedzieli, do jakiego pan doszedł upodlenia; może pan być spokojny, co do tego. Rozmówię się z moim ojcem i opowiemy ludziom, że on umarł — nic więcej.

— Tak, — dodał Renouard martwym głosem, — on nie żyje, a wkrótce ten sam los spotka jego upiora.

Poszła dalej, podczas gdy on pozostał w mroku, bez ruchu. Doszła już do trzech palm, gdy usłyszała głośny wybuch śmiechu, cyniczny, lecz nie wesoły: taki, jaki się rozlega w fumoir'ze po opowiedzeniu skandalicznej anegdoty. Zrobiło się jej słabo. (d. c. n.)

HELENA NIEMYSKA

MONSIEUR LUKI I JEGO „ŻONA”

Zdarzyło się, że lato 1909 r. spędzałam w Sabaudji — w Mornex na Salewie. Zamieszkałam w małym pensjonacie. Wśród nielicznego towarzystwa było parę staruszek. Gdy pierwszego dnia przy obiedzie oświadczyła, że „jestem polką i gotowa byłam klarować, że to nie to samo, co rosjanka, jedna z owych staruszek przerwała mi, mówiąc: „Znałam waszego wielkiego poetę — Juliusza Słowackiego“. Osłupiałam. Nawet nazwisko było wymówione prawidłowo, nie z francuska. Okazało się, że moja nowa znajoma jest wnuczką p. Pattey, u której to w pensjonacie w Paquis pod Genewą mieszkali ongiś Słowacki przez 2½ r. Prosiłam, oczywiście, o szczegóły. „Słowacki był bardzo przystojny i miły. Lubił dzieci, i my obie z siostrą przepadałyśmy za nim. Codzień rano przynosiłyśmy mu bukietek fiołków do łóżka. A byłyśmy tak małe, że musiałyśmy przystawiać stołeczek do drzwi, aby je otworzyć. Nazywałyśmy go Monsieur Luki.“ W trakcie tego opowiadania przypomniałam sobie, jak przez mgłę, że w „Listach do matki“ Słowacki mówi coś o takiej małej dziewczynce, siostrzenicy swojej wielbicielki, panny Eglantyny. Napisałam natychmiast do Genewy z prośbą o przysłanie I. tomu Listów. Z łatwością znalazłam odnośny ustęp. Cytuję go dosłownie;

„Spojrzałem przez okno; wnuczki pani Pattey bawiąc się na dziedzińcu, krzyczą na mnie: „Luki méchant!“ Luki jest to moje imię, dawane mi przez dzieci; najstarsza córeczka, 6 lat licząca, jest moją żoną; w wieczór, kładąc się spać, biegnie do drzwi mego pokoju i krzyczy: „bonsoir, Luki“, a czasem przynosi mi bukiet fiołków. Spodziewam się, że mama pobłogosławi temu związkowi. Staram się różnymi ta-

lentami umebłować głowę mojej żony i uczę ją rysować; już stawia kółka na papierze, używam bowiem metody krzemienieckiej; co do innych nauk, opowiadam jej o stworzeniu świata i już doszedłem aż do potopu; widzicie więc, że wkrótce całą historję powszechną przejdziemy. Co do kobiecych robót, donoszę wam, że mi żona obrażała całą chusteczkę do nosa.“¹⁾

Uradowana i nieco wzruszona, pobiegłam z książką do staruszki. Słuchała w skupieniu mego nieudolnego tłumaczenia, i łzy jej spływały po różowych policzkach. Właśnie, różowych, mimo osiemdziesięciu paru lat. Twarz miała okrągłą i rumianą, jak jabłuszko, prawie bez zmarszczki, oczy łagodne i całą powierzchowność niezmiernie ujmującą. Żwawym krokiem spacerowała ze swą dame de compagnie po naszym ślicznym ogródku. Była panną. Opowiadano mi jakąś romantyczną historję o jej narzeczonym, zabitym na wojnie, i ślubie dziewictwa, jaki złożyła po jego śmierci.

Dziś, pisząc ten drobiazg, zajrzałam znowu do „Listów genewskich“, czytanych przed osiemnastu laty. Nie mogę się powstrzymać od przytoczenia jeszcze jednego ustępu, który wpadł mi w oczy: „Ty, moja droga, nie będziesz mną pogardzać zato, że ja na moje pióro wielkiego odbytu znaleźć nie mogę; ty nie będziesz z szyderską litością innych obcych ludzi patrzeć na mnie, kopiącego się w ziemi, jak biedna mrówka. Idę nieznanym i smutnym, ale kiedyś może powiedzą ludzi, że wart byłem własnego domku, ogrodu i kilku przyjaciół.“²⁾

¹⁾ Listy Juliusza Słowackiego do matki. 1830—1835 r. Lwów 1875. Str. 129-ta.

²⁾ Tamże str. 192.

H A N. S K A R.

W ZACZAROWANEM PAŃSTWIE RAKIETY

Korespondencja własna z Międzynarodowych Konkursów Tennisowych w Wimbledon.

Żyjemy tu od tygodnia pod znakiem Międzynarodowych Konkursów Tennisowych, a każdy zrozumie, że to nie przelewki.

To jest właśnie — to — co jest w tej chwili najważniejsze! — a fascynuje wszystkie umysły, porywa, zaciekawia i niepokoi.

Oczywiście, w te „wielkie dni“ tak samo się je, śpi, nawet pracuje się intensywnie przez pół dnia, lecz już o 2 po południu, każdy, kto tylko może, urywa się z łańcucha codziennych obowiązków, otrzymuje — wobec evenement tak wyjątkowego, — urlop kilkogodzinowy i pędzi, co „40 koni wyskoczy“ do zaczarowanego królestwa, jakim jest Wimbledon.

Niczem się stają naraz sprawy prywatne, wypadki polityczne, niczem nawet owe, nasuwające się akurat w tym czasie (tak niefortunnie!) zaćmienie słońca...

Całą parą śpieszy się do Wimbledonu, odległego o godzinę jazdy od Londynu.

Po szerokich, lanych asfalcem, gładkich, niby wywoskowana posadzka, drogach angielskich — mkną

ze wszystkich krańców wyspy: auta, autobusy, motocykle i rowery.

Na szosach tych — etykieta, jak w salonach! Cały kodeks przepisów, jak się zachowywać, aby niczem nie urazić jadących przed, poza sobą, obok siebie itd. A przytem tyle kurtuazji, dobrego tonu, zimnej krwi i gotowości przyjścia z pomocą każdemu, komu się przytrafi najmniejsza bodaj katastrofa!

Im bliżej „zaczarowanego królestwa“, tem ciśnień, goręcej, tem wolniejszy bieg do mety. Tem więcej policeman'ów, stojących, jak czarne słupki przydrożne i wymachujących z błyskawiczną szybkością, by wiatraczki, swemi długimi, białemi rękawami. Biada temu, kto wyrwie się naraz ze swą maszyną o kilka centymetrów naprzód, kto zwolni niespodziewanie tempo, lub nie odda odpowiednich sygnałów dłonią!

Wyrżą na niego ze wszystkich wozów niezadowolone głowy, skarżą go surowem spojrzeniem dziesiątki par oczu. Uffff!

No, wreszcie! — We wzorowym porządku wjeżdżamy przez szeroko rozwartą bramę na majdan olbrzymiego placu i ustawiamy swoją maszynę na wskazane miejsce według otrzymanego numerku.

Jesteśmy na terytorjum królestwa tenisowego.

Place! place! place!

Siatki! siatki! siatki!

Korty tenisowe zrobione są tylko z nisko strzyżonych trawników i wyglądają zdaleka, niby puszyste, cudownie zielone dywany. Dokoła namioty: olbrzymie hale, kryte szarym brezentem dla szerokiej publiczności, pragnącej raczyć się lunch'em, lub podwieczorkiem. Dla ścisłej garstki członków klubu w Wimbledonie — zbudowane są piękne altany, kryte różnokolorowemi baldachimami.

Jesteśmy właśnie gośćmi pewnego gentleman'a, należącego do jury. Pan ten prosi nas do wnętrza zielono-białej altany i ugaszczą wspaniałym lunch'em. Dokoła — sami wyszapoklakowani gentlemani i damy, ustrojone w przepyszne futra. Jest wciąż tak chłodno, tak wietrzno, tak brzydko, że rozpoczyna się, właśnie, sezon letnich futer.

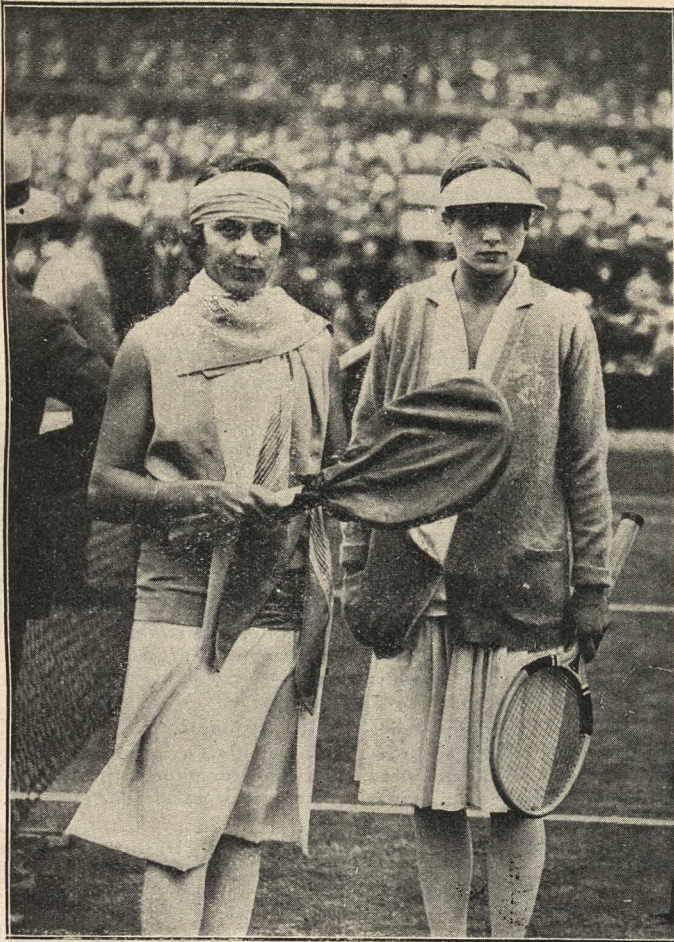
A za wysokim murem, otaczającym Wimbledon, huczy tłum, wyciągnięty w długie ogony-węże, posuwający się wolno w stronę nas. Bilety dochodzą do sumy 10 funtów (mniej więcej 400 złotych).

I oto charakterystyczne zjawisko uliczne:

Nie spotyka się tu nędzarzy, błagających o kilka pensów, lecz zato pstra, barwna banda artystów z Bożej łaski, przebranych w najdziwaczniejsze kostjumy,



Miss Betty Nathall



Helen Wills i Senorita d'Alvarez

popisuje się chętnie w oczach publiczności, dla uprzyjemnienia długich godzin postoj.

Tańczą, skaczą, śpiewają, grają, pokazują nieprawdopodobne sztuki — każdy na swój sposób i co innego.

Jeżeli dodamy do tego chłopców-krzykaczy, roznoszących gazety, programy i fotografie sportsmenów, będziemy mieli wcale ładny harmider i kocią muzykę.

Syci wreszcie tych wrażeń, po sutym lunch'u, zajmujemy miejsca w „Central-Court” — czyli w olbrzymim, kilkupiętrowym gmachu, zbudowanym w kształcie cyrku, mającym — ni mniej, ni więcej — tylko 25.000 miejsc siedzących, nie licząc stojących.

W środku amfiteatru — zielona, piękna arena, na której popisują się sportsmeni.

Ogromna cisza zalega całe to wielkie audytorjum, gdy rozpoczyna się game. Cisza tak wielka, jak podczas koncertu.

Kilkadziesiąt tysięcy par oczu, uczepionych spojrzeniem do piłek, „fruwa” wraz z niemi po całym korcie. Głowy widzów poruszają się z błyskawiczną szybkością w tę, lub inną stronę, zależnie od najmniejszego ruchu, czy skoku gracza.

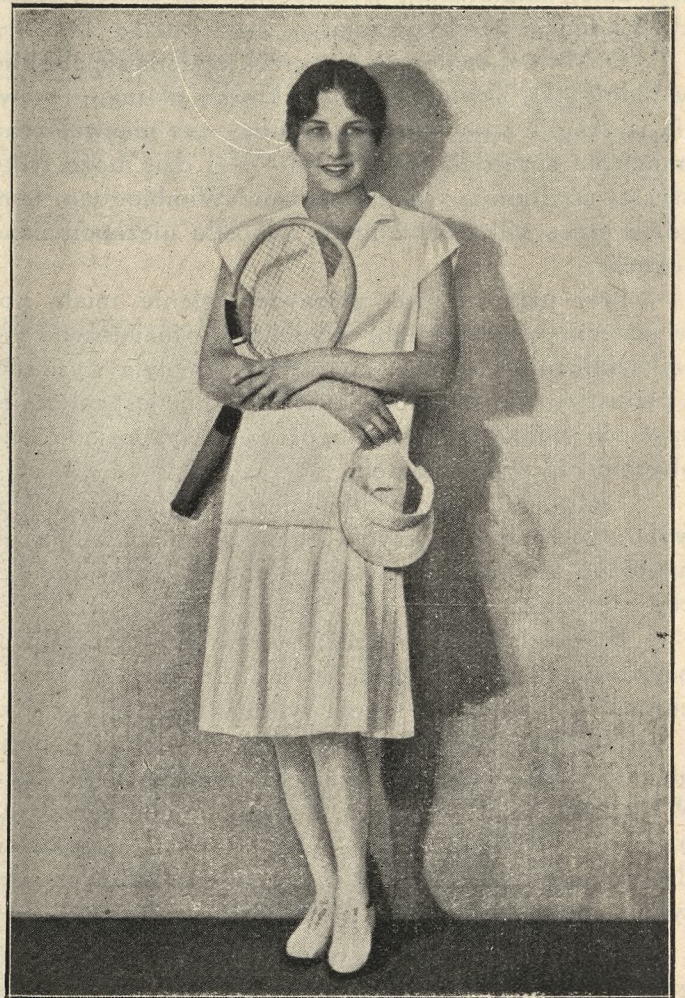
Zainteresowanie wzmaga się co minutę. Ciekawsze uderzenie, każdy game faworytów — witany jest natychmiast burzą oklasków i głośnie aprobatą.

Królewska loża wypełniona po brzegi. Prócz członków rodziny panujących, widzimy tam premiera, lady Asquith, małego, dosyć korpulentnego człowieczka — Lloyd-George'a; jest nawet król Alfons hiszpański, który przybył tu specjalnie, aby podziwiać swoją piękną rodaczkę - sportsmenkę — signoritę D'Alvarez.

Pierwsze dni zapasów stały się odrazu triumfem dla Ameryki. Bożyszcze Nowego-Jorku, W. Tilden, po paroletniej przerwie ukazał się znowu w Wimbledonie, bijąc na łeb francuzów, szwedów, japończyków, anglików.

Sekundowała mu niezgorzej, w partjach damskich, młodociana, acz już wielką sławą okryta, miss Wills, przyszła czempionka świata.

Miss Wills jest studentką, (podobno zdolną malarzką) pochodzi z Kaliforniji i gra bez zarzutu. Na małej, ciemnej główce nosi specjalną przepaskę z daszkiem i jest tak zrównoważona, tak nadzwyczajnie panuje nad każdym swym ruchem, że zwana jest tu powszechnie „Poker-face” — czyli „twarz nieprzenikniona”, która nie zdradza się nigdy z najmniejszym wzruszeniem.



Miss Helen Wills

Trudno mi podać bodaj najkrótsze revue międzynarodowych graczy, zadowolnić się muszę tylko dwiema młodocianymi bohaterkami dnia: Miss Wills i miss Betty Nathall.

Ta ostatnia jest angiolką, liczy sobie 16 wiosen i od dwóch lat słynie, jako najzdolniejsza tenisistka, biorąca po kolei wszystkie nagrody na konkursach młodych—juniors—w Anglii. Znaną jest już we Francji z popisów wiosennych, a dziś występuje poraz pierwszy w Wimbledonie, budząc powszechną sensację.

Anglicy widzą w niej swą przyszłą gwiazdę i dają „małą“ niekłamane wyrazami sympatji.

„Smarkata“ ma uderzenia klasyczne, piłki jej są długie, mocne, śmiałe; serwuje prawdziwie po męsku i zachowuje się na placach z czarującym spokojem.

Tym razem miss Betty, nie bez trudności zresztą, została pobita przez starsze sportsmenki; akcje jej jednak bynajmniej nie spadły.

W tych dniach jeden z zawodowych klubów tenisowych zwrócił się do „małej“, ofiarowując jej... sumę 20.000 funtów szterlingów (narazie) na dalsze kształcenie się w tym kierunku.

Lecz rodzice Betty odrzucili propozycję z oburzeniem. Anglicy pragną za wszelką cenę skasować kluby zawodowe i umiejscowić sporty na placówce—prywatnej, amatorskiej, wykluczając tem samem wszelkie tendencje zarobkowania.

O M-lle Lenglen, która przekształciła się obecnie w tenisistkę zawodową, instruktorkę płatną,— mówi się w Anglii z pewną dozą ironji: —„ta niezwalczona francuzka sprzedała swój talent“ — i dziś może tylko asystować biernie wśród widzów Wimbledonu, tam, gdzie przez kilka lat z rzędu odnosiła niezapomniane sukcesy.

Francuzka na swe usprawiedliwienie miała powiedzieć: —„rodzice moi wydali cały majątek na me wykształcenie fachowe; kosztowało to tyle wysiłków i pieniędzy, że dziś obowiązkiem moim jest zabezpieczyć ich starość.“—Lenglen, prócz sławy, posiada więc obecnie olbrzymi majątek.

Lecz... oto wśród kilkudziesięciu międzynarodowych sportsmenów, przybyłych na konkursy lodyńskie, napróżno szukałam nazwiska jednego bodaj rodaka, czy rodaczki.

Są czesi, jugosłowianie, są nawet łotysze. Dopuszczeni są w tym roku, po raz pierwszy po wojnie europejskiej, niemcy, niema tylko ani jednego polaka!

Nie przeszkodziło to mi jednak, gdym się przyglądała z wzrastającym zaciekawieniem grze Miss Wills i Miss Betty, widzieć oczyma bujnej wyobraźni, na arenie w Wimbledonie—sylwetkę polskiej, zgrabnej dziewczyny, ruszającej się swobodnie i z pewnym, nam tylko właściwym, wrodzonym wdziękiem.

Chodzi tu przecież o najskuteczniejszą propagandę Polski, o której tak mało, prawie nic, nie wie się poza granicami naszego kraju.

London w czerwcu.

Kobieta w świecie i w domu

SKON NAJSTARSZEJ SUFRAŻYSTKI

W tych dniach zmarła w Londynie, w 89 roku życia, pani Wiktorja Wood-Hull Martin, jedna z najpierwszych sufrażystek z bojowego okresu tego ruchu.

Mało jest może kobiet, których początek życia w świecie byłby tak różnym od wieku średniego i starszego.

Miss Wiktorja Wood-Hull, urodzona w Ameryce, wystąpiła do walki o prawa kobiet w tym czasie, gdy idea równouprawnienia była nie tylko zwalczana gwałtownie, ale gdy same kobiety uważały ją za coś niesłychanego i awanturniczego, a przedstawicielki jej i bojowniczkę traktowano, jako anarchistki, lub, poprostu, warjatki. Miss Wiktorja nie uległa się tej opinii. Z małą grupką zwolenniczek rozpoczęła - obyczajem amerykańskim - agitację uliczną, urządzając pochód sufrażystek. Naturalnie, przerwała go interwencja policji, przewodniczka pochodzie została aresztowana i musiała zapłacić wysoką grzywnę, ale pierwszy krok był zrobiony, a nazwisko miss Wood-Hull stało się głośne.

Wkrótce udało się jej założyć tygodnik, pierwsze pismo kobiece, domagające się równouprawnienia, a niezrażona przeszkodami, stawianymi pierwszej publicznej demonstracji, urządziła wnet drugą, wkraczając na czele sufrażystek na giełdę, gdzie rozpoczęła gorącą, słowną agitację!

Stateczni bussinesmani z Walstreet potwieriali szeroko oczy z przerażenia i—znowu uciekli się do policji. Wydano surowy rozkaz, wzbraniający kobietom wstępu i agitacji na publicznych zebraniach.

Miss Wiktorja była jednak niewyczerpana w pomysłach. Przebierała się po męsku, wraz ze swymi zwolenniczkami, i w ten sposób przemawiała na meetingach. Imię jej stało się głośne i w r. 1877 została wysunięta, jako kandydatka na przewodniczącą świeżo powstałego stowarzyszenia równouprawnienia.

Wkrótce jednak potem, niezbyt już młodziutka miss Wiktorja Wood-Hull, wycofała się nagle z życia publicznego i wyjechała z Ameryki.

Co się stało?

Oto bojowniczką równouprawnienia wyszła za mąż — posłużyła bankiera londyńskiego Mr. Ryszarda Martina i odtąd, pozostając zawsze ideową zwolenniczką równouprawnienia, nie brała jednak czynnego udziału w walce.

Pół wieku prawie spędziła w zaciszu domowym, w środowisku zamożnego londyńskiego mieszczaństwa, znana zresztą ogólnie, szanowana, jako najlepsza żona i matka, a z biegiem czasu coraz więcej i jako pionierka ruchu kobiecego.

N. J.

OBRADY „MAŁEJ LIGI“ W GENEWIE

W urzędowej siedzibie obrad Ligi Narodów, w Genewie, odbył się zjazd międzynarodowej Ligi Kobiet.

Nie był to jednak wielki, oficjalny kongres, pomimo, że zgromadził przedstawicielki 39 państw, lecz raczej zjazd zamknięty, ochrzczony popularnie nazwą „małej ligi“. Chodziło o to, aby właśnie w Genewie odbyły się narady kobiet, które coraz większy udział biorą w Lidze Narodów i coraz większy chcą na nią wpływ wywierać.

W tym celu też, poza naradami w kole członkiń, odbyło się i kilka zebranych publicznych, poświęconych bądź sprawie pokoju, bądź zagadnieniom międzynarodowych prac umysłowych, opieki społecznej, zdrowia publicznego, wreszcie, rezultatom ostatniej, świeżo właśnie w Genewie odbytej, międzynarodowej konferencji gospodarczej.

Przewodniczącą zarządu Ligi Kobiet i przewodniczącą obrad była margrabina Aberdeen and Temair, członkini sekretariatu Ligi Narodów.

Sprawy ściślejszego udziału w tej Lidze, większego w niej wpływu, były czołowymi sprawami obrad. Postanowiono mianowicie zobowiązać delegatki poszczególnych krajów, aby starały się wyrobić u swych rządów umieszczenie przynajmniej jednej kobiety w każdej delegacji do Ligi Narodów.

Dotychczas uczyniło to siedm państw: Kraje skandynawskie, które od pierwszej chwili dały kobietom miejsce w delegacjach, Rumunja, Anglja, a świeżo — Niemcy.

I tam jednak kobiety zajmują w delegacjach albo miejsca zastępcze tylko, albo też stanowiska specjalne: doradczyń fachowych, ekspertek, lub przedstawicielek spraw, dotyczących zagadnień kobiecych i opieki nad dziećmi. Chodzi o to, aby kobiety weszły do Ligi Narodów na zasadzie pełnego równouprawnienia, zagwarantowanego im art. VII regulaminu Ligi, niewprowadzonym dotąd w życie.

Drugą sprawą, specjalnie braną pod uwagę w obradach „małej ligi” — była sprawa pokoju.

Kobiety nie chcą wojny.

W czasie wielkiej wojny ostatniej spełniały wszędzie swój obowiązek obywatelski, oddawały na ofiarę swych najdroższych, pracowały ciężko, jako siły pomocnicze, w walce gospodarczej — pracowały bez praw, pod dyktandem wojny, wszczętej bez nich i wbrew nim.

Obecnie, jako równouprawnione w większości krajów obywatelki, pragną przeciwstawić się wszelkimi sposobami możliwości nowej walki. I tu znów nasuwa się sprawa bliższej współpracy i poważniejszego udziału w Lidze Narodów, mającej za zadanie utrzymanie ogólnego pokoju. Jako swoje bezpośrednie, najbliższe zadanie w tym kierunku uważają członkinie Międzynarodowej Ligi Kobiet pracę w zakresie wychowania młodzieży w duchu pokojowym. Dokonano już wiele w tym kierunku.

Liga Kobiet znajduje się w stałym kontakcie z Instytutem międzynarodowej pracy umysłowej.

Delegatką i łącznikiem między Instytutem, a Ligą jest p. Barney, która opracowała projekt stałej wymiany między poszczególnymi krajami rezultatów pracy wychowawczej, a także wymiany nauczycieli i młodzieży. Były zresztą już robione próby w tym kierunku.

Oprócz wycieczek krótkoterminowych, organizowano wymianę — dłuższy pobyt grup młodzieży, np. angielskiej, w szkołach japońskich, francuskich, amerykańskich i odwrotnie.

P. Barney zwróciła też specjalną uwagę obradujących na niesłuchanie ważną rolę, jaką w wychowaniu i poznaniu innych krajów i środowisk odegrać może dobrze zorganizowana w celach wychowawczych propaganda filmowa.

Trzecim, wreszcie, ważkim tematem obrad była kwestja pociągnięcia do ściślejszej współpracy wszystkich narodowych organizacji kobiecych. W tym celu powołano osobną komisję, której zadaniem będzie przestudjowanie zagadnień, dotyczących spraw kobiecych, zwłaszcza na Wschodzie i wynalezienie środków do-

pomagania rozwojowi umysłowemu mas kobiecych i zjednania tych mas dla sprawy pokoju. Dotyczy to specjalnie kobiet w Chinach.

Na zakończenie postanowiono prowadzić jaknajintensywniej i na jaknajszerszą skalę przygotowania do najbliższego wielkiego kongresu Międzynarodowej Ligi Kobiet, który odbędzie się w Wiedniu za trzy lata — w r. 1930.

N. J.

KOBIETOM NIE WOLNO GRAĆ W KARTY

Uspokójcie się, polskie brydzystki i pokkierzystki! Rozporządzenie powyższe wydane jest nie u nas, lecz na Węgrzech. Węgierski minister spraw wewnętrznych dekretem zabronił kobietom w kraju Liszta grę w karty w lokalach publicznych, a nawet w klubach prywatnych.

W epoce, gdy kobiety są ministrami, posłami do parlamentów inżynierami, i t. p., rozporządzenie takie brzmi trochę humorystycznie.

Inną jest rzeczą, że hazard nie przystoi ludziom kulturalnym; czyżby, jednak, na Węgrzech mężczyźni nie uprawiali nigdy gry hazardowej w karty?

ZNAKOMITA POETKA FRANCUSKA MALARKĄ

Hr. Anna de Noailles, uznana przez francuzów za największą poetkę naszej epoki, ubiegłej zimy siedziała pewnego wieczoru w domu zupełnie sama i... trochę się nudziła. Dla kaprysu wzięła do ręki pastelowe ołówki i naszkicowała wiązanek kwiatów, umieszczoną w wazonie na kominku. Szkic okazał się wybornym — pełnym smaku i wdzięku. Przynajmniej tak twierdzą przyjaciele poetki.

Zapewne ów zimowy wieczór nie był jedynym samotnym w jej życiu, gdyż wkrótce z pod ręki jej wyszedł cykl 50 studjów pastelowych, mających za temat kwiaty. I oto dn. 20 czerwca r. b. minister oświecenia publ. inauguruje w Paryżu uroczystość otwarcia wystawy pastelów, malowanych przez hr. de Noailles.

Miejmy nadzieję, że kwiaty, malowane przez poetkę, są nie mniej piękne, jak jej poezje. Sprzedaż nowych arcydzieł utalentowanej hrabiny idzie rażno. Ciekawe jest, czy wystawa ta obudziła również zachwyt pośród zawodowych malarzy kwiatów, którzy, aczkolwiek utalentowani, często przymierają głodem.

R. C. H.



Koronacja cudownego obrazu N. M. P. Ostrobramskiej w Wilnie

KRONIKA PLASTYCZNA

Pierwszy Salon Doroczny Stowarzyszenia Architektów Polskich wykazuje od razu wiele wartości, a przede wszystkim to, co najważniejsze: bujną aktywność i rozmach poszukiwań. Wystawione prace są dorobkiem samych prawie młodych architektów — i fakt ten stanowi o pewnym swoistym, bezwzględnie dodatnim, zabarwieniu całej wystawy.

Dominuje tendencja przejścia ponad niezawisłą, kapryśną, bujająco niejako w powietrzu, dekoracyjnością — do surowej celowości form, do wysnuć całej logiki budowy z przesłanek utilitaryzmu. Jednym słowem kierunek, znany na całym świecie, jako konstruktywizm. Piękna i harmonijnie nie skazuje się na banicję, lecz zmusza się je, by były wynikiem, by podlegały prawom — konstrukcji.

Założenie to niezawasz doprowadzone jest z całą konsekwencją do końca. Najściślej trzyma się go najbardziej krańcowa grupa: „Praesens” — wśród której członków wyróżniają się zwłaszcza: p. p. Borukalscy, Lachert i Szanajca. Meble p. Lacherta bardzo interesujące, trochę może niezrozumiałe w swej jasności kolorystycznej. Projekt kościoła w Białymstoku (Lachert, Niemojewski i Szanajca) zdaje się być prosty, monumentalny a przytem pozbawiony pewnej oschłości, która cechuje niektóre prace członków tej grupy. P. Pniewski wystawia projekty regulacji miast Lublina i Radomia, oraz Placu Saskiego: wszystkie, a zwłaszcza ten ostatni, bardzo, jak się zdaje, szczęśliwe. Pozatem wymienić należy p. p. Norwestha, Goldberga i w. inn.

W tem wszystkim najbardziej pociesającym jest fakt, że architektura, ta sztuka, więcej, niż jakakolwiek inna, związana z życiem — robi pierwszy krok w kierunku rozproszenia ogólnej ignorancji naszej publiczności. A publiczność powinna odpowiedzieć na to gorącym odruchem. Wszakże tu chodzi o to, co nas najbardziej obchodzić powinno: o dom niewielki, schronienie serc najbliższych — i o dom zbiorowy i plac otwarty, przecięcie dróg i węzeł braterstwa ludów.

* * *

W Szkole Sztuk Pięknych na Powiślu otwarto, jak zawsze w końcu roku szkolnego, wystawę prac uczniów. Najwięcej widzów ściga, oczywiście, klasa prof. Pruszkowskiego: kompozycja olejna Duży tu rozmach (wyrażający się już w rozmiarach kompozycji), dużo rzetelnej pracy. Na wszystkich jednak cięży jakiś specyficzny konglomerat realizmu z historyzmem — który oby nie przerodził się w trzeci „izm”: w pewien swoisty akademizm i manierę. Najciekawszy, to Gotard, o świetnej technice, trochę może niemiecki w swej ekspresji; Z. Bielska, zdradzająca duże poczucie kolorystyczne, i in. Grafika prof. Skoczylasa, jak zawsze, wykazuje poziom uczniów bardzo wysoki i doskonałe opanowanie techniki. Dla nas osobiście jednakże najbardziej interesujące są wyniki, osiągnięte w klasach zdobniczych: prof. Jastrzębowski, Miecz, Kotarbińskiego (kompozycje brył i płaszczyzn), Gardowskiego (Książka i Literactwo). Począwszy od makiety scenicznej do „Lilli Wenedy”, a na projekcie reklamy monopolu tytoniowego skończywszy — wszystko, co stąd wyjdzie, będzie w sposób najbardziej bezpośredni i żywy urabiało poczucie artystyczne ogółu. I z myślą właśnie o tem, można tylko przyklasnąć kierunkowi pracy w tym dziale, oraz rezultatowi, już osiągniętemu.

* * *

W Polonji urządziła wystawę „Grupa 12” — uczniowie p. Blanki Mercère. Prace to przeważnie jeszcze młode, raczej niekrystalizowane. Poszukiwania większości wystawców idą w kierunku realistycznego oddania rzeczywistości, ze stanowiska raczej impresjonistycznego. Tendencje dekoracyjne reszty grupy znajdują ujęcie we freskach, kompozycjach religijnych. Pewna krzykliwość kolorystyczna, słabe wyczucie barwne, cechuje te poczynania. Ogólna atmosfera jeszcze niedojrzałości, niejako „pierwszych kroków”. Czekajmy!

b. j.

Z TEATRÓW

TEATR LETNI I NARODOWY:

Złota Czaszka, 5 obrazów dramatycznych Juliusza Słowackiego. Inscenizacja i reżyserja Ludwika Solskiego, dekoracje Wincentego Drabika.

Kopciuszkim wśród uroczystych przedstawień, związanych ze sprowadzeniem prochów Słowackiego do kraju, była „Złota Czaszka”. Ta dramatyczna sielanka siedemnastowieczna na tle ukochanego przez poetę Krzemieńca, malowana złotem i purpurą młodzińskich umiowań, przymglona szafirem wspomnień historycznych, powinna i na scenie zachować tę czarodziejską patynę, niezbudowaną plugawym oddechem niewczesnego realizmu. Tymczasem stało się inaczej. Nieskończone dzieło poety w wielu punktach zostało przez grę i reżyserję niedociągnięte, w innych — przemalowane, wogóle, bezstylowe i nieciekawe. Nikt, absolutnie nikt: ani inscenizator, ani dekorator, ani aktorzy — nie znalazł klucza do tego Sezamu, który otworzyć może tylko wszechwładna intuicja artystyczna! Jeden Kotarbiński, w wypowiedzeniu cudownej Parabazy, trafił na ton właściwy, ale była to perła w korcu owsa.

Każdy aktor grał po swojemu i samopas. Niektórzy — świetnie, jak np. Solski i Zelwerowicz, ale „wiedziało się”, niestety, że to naprawdę Solski i Zelwerowicz, a nie Złota Czaszka i książdź prowincjał. Żaden z nich ani na jotę nie zrezygnował ze swoich czcigodnych nawyków. Majdrowiczówna wogóle wcale nie grała i wyglądała nieładnie. Aldona Jasińska była, jak zwykle, doskonałą matroną-gosposią, Hnydziński i Wyrzykowski wymachiwali rękami i „robili szablistość” z przejściem, godnym teatru amatorskiego, a szlachta na mogiłkach sprawiała wprost opłakane wrażenie. Dekoracje chyba nie Drabik malował! Można je określić jednym krótkim słowem: straszne! Po wyjściu z teatru dzwoniły mi długo w uszach słowa: „w tłoku sroczkę zadeptali”. Tą sroczką była „Złota Czaszka”.

S. P. O.

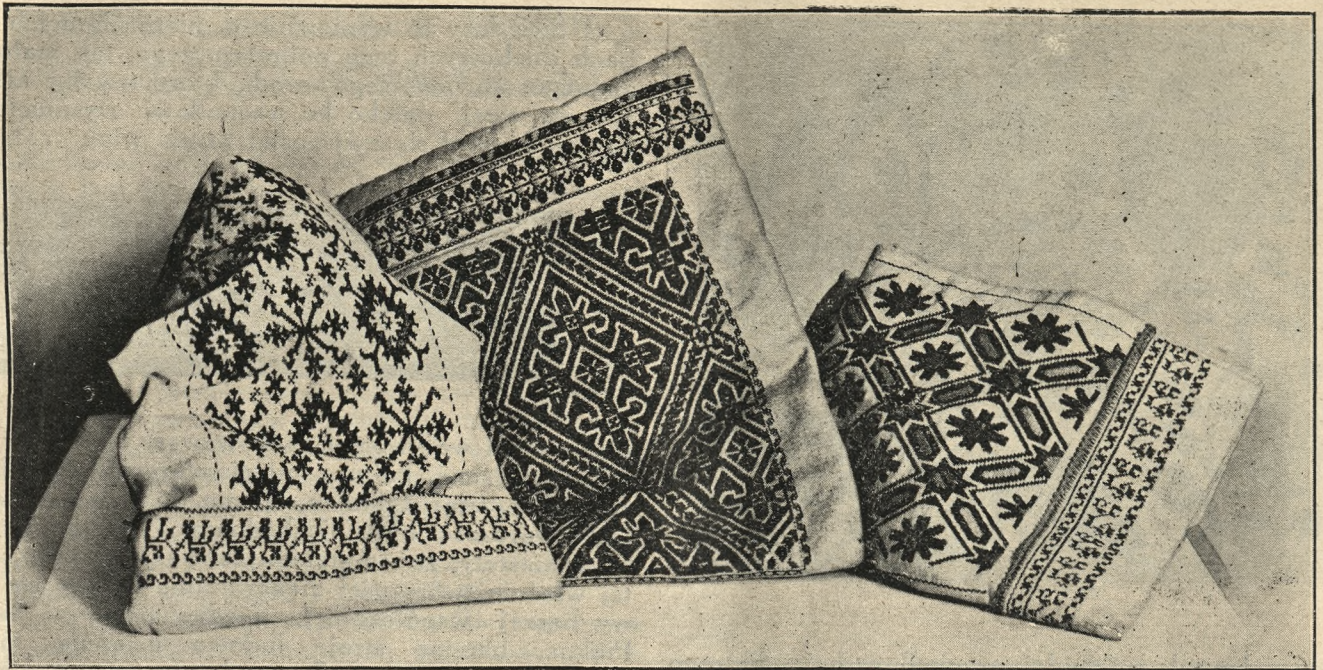
Z FILMÓW

Koronacja cudownego obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej w Wilnie

Film ten umiejętnością układu i proporcjonalnym rozłożeniem wagi na poszczególne fragmenty sprawił nam prawdziwą niespodziankę. Widoki Wilna i okolic, pełne swoistego uroku fragmenty architektoniczne prastarego grodu Gedymina, typy ludowe, sielskie sceny z życia naszej straży pogranicznej, a szczególnie doskonale sfilmowane epizody kawaleryjskie (zjazdy z osypisk górskich, forsowanie rzeki) wywoływały żywy entuzjazm wśród uczestników premjery filmowej w kinie Colosseum.

Część tytułowa zawierała ściśle odtworzenie uroczystości wileńskich, począwszy od konserwacji cudownego obrazu, dokonanej przez mistrza w tym zakresie, odnowiciela wizerunku Matki Boskiej Częstochowskiej i Kodeńskiej, prof. Rutkowskiego, — kończąc na uroczystej procesji pod strumieniami ulęwnego deszczu. Znamiennym jest fakt, że film, nakręcony w sobotę w Wilnie, wyświetlany był już w poniedziałek w Warszawie. Ten amerykański pośpiech świadczy chlubnie o rozwoju naszej techniki kinematograficznej.

Film ten ma pierwszorzędną znaczenie propagandowe i nadaje się znakomicie do wyświetlania zagranicą, szczególnie w centrach przemysłowych, skupiających znacznie większe masy emigrantów naszych, jak również w instytucjach turystycznych, w celu wzbudzenia zainteresowania piękną naszego rodzimego krajobrazu. Dla tych, którzy Wilno znają, stanowić może rzewne przypomnienie chwil, w niem spędzonych.



Poduszki z szarego płótna ozdobione haftem bułgarskim

HAFT BUŁGARSKI

Ludowy haft bułgarski, tak bardzo dzisiaj modny na zachodzie Europy, jest nader ciekawym i charakterystycznym wyrazicielem zbiorowej duszy narodowej i jej artystycznych potrzeb. Przedewszystkiem zaś zaznajamia nas z duszą kobiety bułgarskiej, która przez wieki całe niewoli tureckiej zamknięta wśród czterech ścian swego domu, w drobnych ściegach haftu znalazła wyraz swoich marzeń, smutków i radości, ujście dla swej bogatej, artystycznie uzdolnionej indywidualności.

Nadzwyczajna pracowitość, pomysłowość w stylizacji, fantastyczna różnorodność motywów i czarująca barwność—cechują te niezwykle wytwory ludowej sztuki stosowanej. Nie można się oprzeć pcdziwo wi, oglądając te rękawy, kołnierze i mankiety koszul, ażurowe ich rąbki. Ież to godzin mozolnej, mrówczej pracy musiała poświęcić kobieta, aby sporządzić sobie, mężowi, lub dzieciom taki strój odświętny! I jaka przytem precyzyjność w wykonaniu jaka niezwykła staranność!

Haftowano zwykle na krosnach, na dość grubem płótnie konopnem, lub bawełnianem. Najpierw oprowadzano kontury cieniutką, czarną nitką, potem wypełniano motywy nitką barwną, ścięciem bądź krzyżkowym, i to bardzo drobnym, bądź też półkrzyżkami.

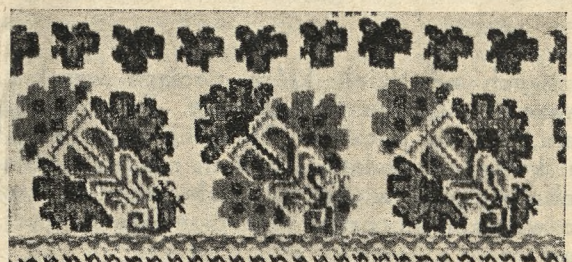
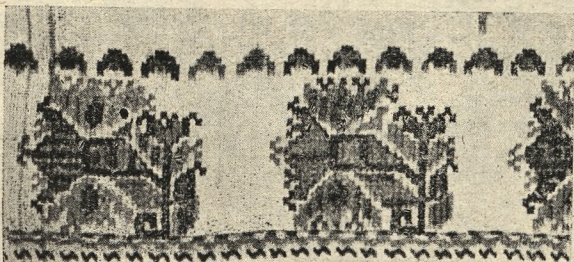
Do pracy, w starych haftach, użyte są przeważnie cieniuchne nitki wełniane, w haftach późniejszych spotykamy jedwab i bawełnę, a w niektórych okolicach, szczególnie w Macedonji, nici srebrne i złote.

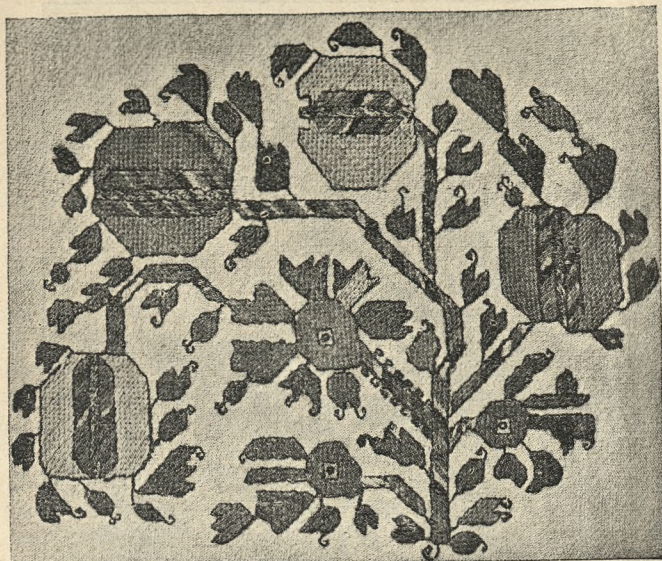
Wzory czerpano z przyrody, stylizując przeważnie rośliny, owady, a nawet zwierzęta, ptaki i ludzi.

Stylizacja bławatka występuje w różnych wariantach, coraz bardziej odchylając się od prototypu.

Są to hafty z okolic Widyndia, któremi ozdobione były przody od koszul. Spotykamy też udatną stylizacją czterolistnej koniczyny, Ciekawą bardzo stylizację pszczoły oraz motyla.

Z okolic Sofji, gdzie noszone są szerokie i całkowicie zahaftowane ręk-



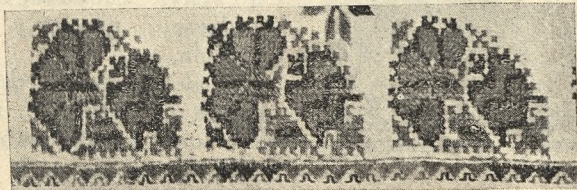


kawy u koszul, pochodzi oryginalny haft, którego treścią jest motyw końskiej głowy. Oryginał znajduje się w muzeum etnograficznym w Sofji. Śmieszne karykaturki tureckich paszów przedstawiają hafty z okolic Dupnicy.

Spotykane są równie często figury geometryczne, pod postacią gwiazd, kwadratów, sześciokątów i t. p. na haftach bardzo starych, jak i późniejszych. Łatwo w nich zauważyć wpływy wschodnie, a symboliczny kształt swastyki wielokrotnie się powtarza. Niektóre motywy zaczerpnięte są z ornamentyki kościelnej i wykazują wyraźne pochodzenie bizantyjskie. Kilka najcharakterystyczniejszych wzorów podają nasze reprodukcje.

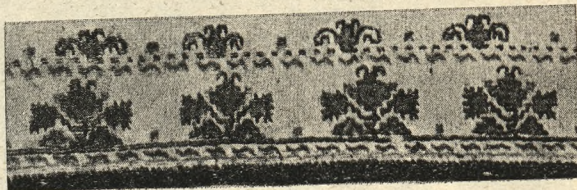
Lecz najwybitniejszą cechą wszystkich tych haftów jest niezwykła ich barwność, której podstawę stanowi kolor czerwony w najrozmaitszych odcieniach: od ciemnej purpury do jasnego cynobru. W niektórych okolicach kraju, koło Sofji, Wracy, Starej Zagory hafty wykonywane są w tym jednym tylko, ulubionym w Bułgarii kolorze. W okolicach Plewny, Tyrnowa i niektórych miejscowościach Macedonji napotykamy hafty w kolorach ciemnych: szafirowym, zielonym, brązowym, czarnym i purpurowym z odcieniem fioleto.

Bezbarwne reprodukcje nie mogą dać nawet w przybliżeniu pojęcia o cudownej polichromji tych



prawdziwych arcydzieł, która pociąga wzrok i daje najżywsze artystyczne zadowolenie. Zdumiewajacem, poprostu, jest to poczucie harmonji barw u kobiety z ludu, która, nieraz latami całymi nie wychylając się poza obręb swojej wioski, czerpała jedynie natchnienie we wrodzonym artyzmie i przebogatej swej wyobraźni.

Świadczy to wymownie o nieprzebranych skarbach duchowych tego pobratymczego, tak mało u nas znanego, słowiańskiego narodu, który, trwając niezłomie na swej, daleko ku wschodowi wysuniętej placówce, opierał się zwycięsko przez wieki całe wro-



gim obcym wpływom i, zachowawszy nietknięty język swój i rodzimą kulturę, od ciemnocyfeli swych i sąsiadów przejął tylko to, co mu do rozwoju własnej jego twórczości było niezbędnem.

Niestety, ze smutkiem zauważyć należy, że na tej właśnie twórczości niekorzystnie odbiły się wpływy naszej współczesnej, międzynarodowej kultury. Piękne, barwne stroje ludowe ustępują miejsca, szczególnie po miastach, modernizowanym i szarym ubiorom europejskim. Zaś przemysł fabryczny, dostarczając obecnie gotowego i tandetnego materiału: bawełny i jedwabiu o barwach nietrwałych, płócien, sztucznie bielonych, i zmuszając przez wyteżoną konkurencję do pośpiechu w pracy, obniża poziom artystyczny haftów, które przestają już być potrzebą, a stają się przedmiotem zbytku i spekulacji. Zaledwie gdzieś w zapadłych kątach Bułgarii, na dnie ciężkich skrzyń, przechowują stare kobiety z pietyzmem stare prababek szaty, te bezcenne zabytki wymierającej sztuki. Lecz i tam odnajduje je chciwy egzotyzmu przybysz z Zachodu. U ubożego i chciwego na grosz chłopka znajduje łatwy posłuch. Stare hafty bułgarskie wędrują zagranicę, gdzie wzbudzają usprawiedliwiony zachwyt znawców i, nieudolnie kopjowane, jako „broderie bulgare“, zdobią dziś suknie, płaszczki, torebki modnych elegantek. *Jadwiga Grudzińska.*



HISTORJA CHLEBA I DZISIEJSZE OD NIEGO WYMAGANIA

Zasadniczo różni się placek od chleba; po pierwsze, placek jest zawsze niski, a chleb, choćby najmniej wyrośnięty, jest znacznie wyższy od placeka. Następnie, placki były i są robione z różnej mieszaniny, z której wyrośniętego chleba zrobić nie można. Po trzecie, ciasto na placki zwykle nie jest poddane fermentacji, bez czego zrobienie chleba nie jest do pomyślenia.

Zpóśród mieszaniny, jaka była używana do wypieku placków, przechowała się do naszych czasów mąka z owsa, mamałyga, duszone ziemniaki i jęczmień, a z zapraw dla podniesienia smaku: kminek, koperek, mak, czarnuszka, czasem mięta i inne. Zaprawy te są używane obecnie i przy wypieku chleba. Wyjątkowo tylko spotyka się w pewnych okolicach placki, których wnętrze przedstawia różnokolorowe mieszaniny ziół, jagód i drobnych owoców.

Nowoczesne rolnictwo coraz bardziej wyzbywa się uprawy wszelkich mieszanych gatunków roślinnych, a tam, gdzie się trafiają mimowoli pewne zanieczyszczenia, są one starannie usuwane przy pomocy specjalnych młynków.

Nietylko jednak wymaga się, by ziarno, idące do przemiału, było oczyszczone z innych nasion, lecz musi ono być wolne choćby od najmniejszej ilości ziemi, piasku i drobnych kamyczków. Mało tego, obecnie zwraca się pilną uwagę na to, czy jest to ta sama odmiana pewnego gatunku ziarna, a ich pomieszanie jest w światowym handlu niedopuszczalne. Wiemy o tem wszyscy dobrze, że duże piękne owoce są zawsze smaczniejsze od małych.

Różnice wagowe, jakie występują w ziarnie, są widoczne i w mące; litr mąki ciemniejszej jest zawsze lżejszy od takiegoż litra mąki bielszej. Przy detalicznej sprzedaży oceniają gospodynie gatunek mąki według koloru. Gorsze jest to, że wiele wad, jakie stosunkowo często w mące występują, nie da się zauważyć tylko przy pomocy oka. Jeżeli ziarno nie jest w odpowiedni sposób przechowane, to następują w niem zmiany, które w mące, a następnie w pieczywie, dają się odczuwać w przykry sposób.

Ma to miejsce przede wszystkim wtedy, gdy przeznaczono do przechowania nie dość suche zboże. Całe ziarno, lub skruszone w postaci mąki — „oddycha”, czyli utlenia się, wydzielając z siebie dwutlenek węgla; ilość wydzielanego bezwodnika węglowego będzie tem większa, im ziarno, czy mąka, są wilgotniejsze. Ze wzrostem jego podnosi się też i temperatura przechowanego produktu, a wszystko razem przyczynia się do pogorszenia smaku, aromatu, zdolności dobrego wypieku i obniżenia wartości odżywczych, przy wyrobach z takiego surowca.

Pomijam fakt takiego niedbalstwa, które dopuszcza aż do zapleśnienia mąki, lub wylęgania się w niej różnych robaków i moli.

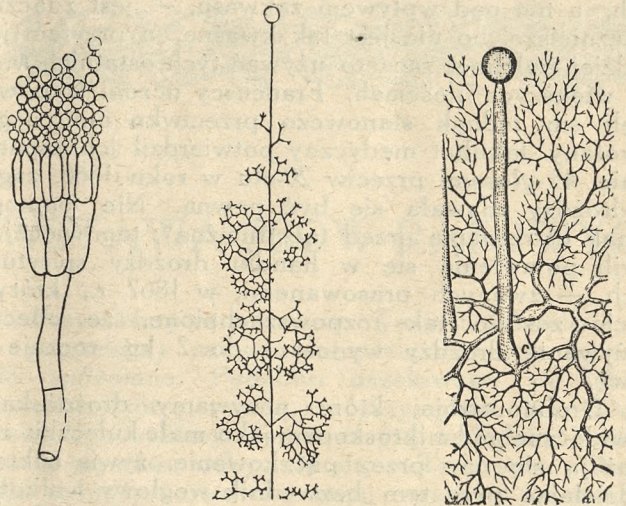


Mól mączny



Słonik zbożowy

Mając powyższe „principia” na względzie, konstruktorowie elewatorów (obecnie aktualnej sprawy w Polsce), czyli dużych magazynów zbożowych, pamiętają o tem, by ziarno, czy mąka były w nich dostatecznie przewietrzane, nawet przy pomocy maszyn, przedmuchiujących przez nie powietrze.

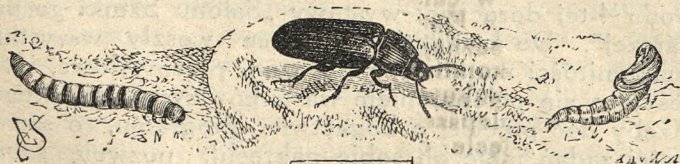


Pleśń chlebową

W ten sposób otrzymane i przechowane dobre gatunki mąki — celem otrzymania z nich chleba — poddaje się jeszcze fermentacji, zwanej „rośnięciem ciasta”. Do fermentacji potrzeba przede wszystkim: mąki, wody, drożdży, wymieszania tego wszystkiego i stosownej temperatury.

O wodzie mamy dzisiaj tak obszerną literaturę, że wystarczy na tem miejscu, gdy powiem, że winna być ona jak najbardziej „czysta”, bez jakiegokolwiek przykrego smaku siarczanego, żelazistego, „naftusowego” i t. d., — jaknajbardziej przejrzysta i możliwie wprost ze źródła.

Fermentacja ciasta przy pomocy „zakwasu” była znana już w starożytności. Mąka, zaprawiona wodą i pozostawiona w ciepłym otoczeniu — kiśnie, a zakwas ten, dodany do ciasta, powoduje jego fermenta-



Larwa mącznikowa, chrząszczyk i poczwarka

cję, a w następstwie tego spulchnia pieczywo. Smak takiego pieczywa jest zawsze kwaśny, bo powstaje on z fermentacji drożdży, t. zw. dzikich, w których znajdują się i bakcyle kwasu mlecznego i często octowego.



Drożdże

Lud polski przywiązuje do niecek i dzież wielką wagę, ceniąc je, jako spadek, i obchodząc się z nimi troskliwiej, niż z dziećmi. Gospodynie uważają, by niecki się nie zaziębiły, i dlatego przechowują je na przypiecku, czasem przykrywają kożuchem, lub pierzyną, nigdy ich nie wyparzają gorącą wodą, ani nie wystawiają na mróz. Obyczaje te tłumaczą się empirycznie zdobytymi wiadomościami, w jaki sposób należy się obchodzić, by nie zagubić w nieckach zdolności fermentacyjnych, czyli nie wygubić w nich drobnoustrojów.

Gdy zczasem przekonano się, że ciasto, którego fermentacja odbywa się pod wpływem drożdży piwnych, a nie pod wpływem zakwasu, — jest znacznie smaczniejsze, bo nie jest tak kwaśne, a przytem jest bardziej pulchne, zaczęto używać tych ostatnich w coraz większych ilościach. Francuscy uczeni wypowiedzieli się jednak stanowczo przeciwko nim, a gdy powołany fakultet medyczny potwierdził ich zapatrywanie 45 głosami przeciw 20-stu w roku 1668, zagłada drożdży zdawała się być pewną. Nie pomogły jednak ostrzeżenia przed tą „trucizną“, tem więcej od chwili pojawienia się w handlu drożdży spirytusowych, — zwanych prasowanemi, w 1867 r., których użycie zostało tak rozpowszechnione, że obecnie spożywanie drożdży wynosi 1 do 2 kg. rocznie na głowę.

Drobnoustroje, które nazywamy drożdżakami, są widoczne pod mikroskopem jako małe kuleczki; rozmnażają się one przez pączkowanie, żywią cukrem, wydzielając przy tem bezwodnik węglowy i alkohol. Ten to bezwodnik węglowy, w postaci drobnych banieczek, spulchnia ciasto, chroni pieczywo przed zakalaniem i robi go przez to lekko strawnem. Alkohol, jaki powstaje podczas fermentacji w cieście, nie jest dotychczas praktycznie użytkowany; wchodzi on w postaci pary do komina, podczas wypieku chleba.

Silnie reklamowane w ostatnich czasach proszki do wypieku są kwaśnym węglanem sody, kwasem winnym, węglanem aminowym i t. p. i spulchniają ciasto bez współpracy drożdży.

Jakość drożdży, dobór środków chemicznych i szereg innych zagadnień, tyjących się fermentacji, są obecnie jednym z najaktualniejszych tematów ze spraw piekarskich i jedną z przyczyn sporów pomiędzy koncepcją wielkich, czy małych piekarń.

(d. n.)

M. Szadurski.

KONGRES HIGJENY I KOMFORTU DOMOWEGO W PARYŻU

Czułabym się prawdziwie szczęśliwą w dniu, kiedy słowa: w Paryżu — mogłabym zastąpić, słowami: w Warszawie. Nie będę się starała wyliczać, a raczej wynajdywać przyczyn, dla których zainteresowanie sprawami gospodarstwa domowego jest u nas tak minimalne, że dotąd nie możemy się zdobyć nawet na jakieś liczniejsze stowarzyszenia pań domu — gospodyń domu, któreby miały za cel ulepszenie naszych, przedpotopowych, zaiste, warunków, w których wykonujemy prace domowe. Podobno żydówki warszawskie zawiązały takie, dobrze prosperujące, stowarzyszenie pod egidą p. Sachs — a my, polki? Koło Studjów Gospodarstwa Domowego, cicho, a wytrwale pracujące nad zmodernizowaniem, uprządkowaniem ognisk domowych, ma zaledwie kilka czynnych członkiń, nie zrażających się obojętnością sióstr swoich, tych, liczących się na tysiące, które z chęcią gotowy rezultat prac, — w postaci praktycznych przyrządów, udoskonalonego systemu itp., — może przyjmą, ale same nic z siebie, bodaj paru godzin swego czasu, dać na to nie chcą. Tymczasem francuskie kobiety idą tak olbrzymimi krokami naprzód, że prawie wyprzedzają Amerykę, gdyż wnoszą nietylko praktyczność i oszczędność czasu i wysiłku pracy do swoich ognisk domowych, ale i nietylko zachowują, lecz i zwiększają ich estetykę, robiąc z kuchni kącik również elegancki, jak dawniejszy salon. Zmusiły one do zainteresowania się sprawami gospodarstwa domowego nietylko swoich ojców i mężów, nietylko cały świat uczonej i przemysłowej, który — w dobrze zrozumianym interesie własnym — cały stanął na ich usługi, — lecz i rząd nawet, który w osobie każdorazowego ministra Oświaty i Sztuk pięknych popiera ich poczynania i bierze udział w ich pokazach, wystawach, kongresach, egzaminach i pokazach w szkołach gospodarczych itp. Jak poważne jest zainteresowanie sprawami wewnętrznymi ogniska domowego, o tem najlepsze pojęcie dam czytelniczkom „Bluszczu“ prostem podaniem programu „Kongresu higieny i komfortu domowego“, który się odbył w Paryżu w lutym r. b. (od niedzieli 20 lutego do niedzieli 27 lutego, w Wielkim Pałacu Sztuki). Chciałabym widzieć miny naszych panów z Zachęty, gdyby im zaproponować udzielenie sal na wystawę „Kuchenną“, lub na kongres, „Kucharek“, — gdyż u nas gospodarstwo domowe w pojęciach ogółu łączy się tak ściśle z kuchnią, że się nieomal do niej jednej tylko ogranicza. Niedawno kiedy w liczniejszym towarzystwie, poznajomiono mnie z pewną panią, dodając, że piszę w sprawach gospodarczych, pani ta — z najuprzejmiejszym z uśmiechów — zapytała: „To pani w Kurjerku o ścierkach pisuje?“ — jaki zachęcający wynik kilkuletniej zmułnej pracy w całym szeregu pism, nieprawdaż?! Lecz wróćmy do Kongresu. Został on zwołany z powodu 4-tej dorocznej wystawy „Salonu Sztuki gospodarczej“. Do komitetu Kongresu weszły wszystkie znakomitości naukowe, medyczne, przemysłowe, interesujące się polepszeniem warunków życia domowego. Ażeby dać pojęcie o bogactwie programu, o szerokości zadań, jakie on sobie nakreślił, pozwolę sobie dosłownie ten program przytoczyć.



1). Niedziela, 20 lutego, godzina 3 pp. Otwarcie kongresu przez pana Ministra Oświaty publicznej i Sztuk pięknych. Przemówienia: p. J. L. Breton, dyrektora biura Narodowego Studiów Naukowych, przemysłowych i wynalazków; p. M. Défert, — prezesa Touring - klubu, — p. M. Heim de Balzac, — dyrektora instytutu Higjeny Sanitarnej.

2). Poniedziałek, 21 lutego: „Higjena w Domu, Dr. Grünberg, — prezes Izby Syndykalnej Sztuki i Narzędzi gospodarczych: „Higjena i Komfort zapomocą przyrządów gospodarczych“, — M. Cambat: „Rury stalowe w domach współczesnych“. — M. Perret: viceprezes Izby Syndykalnej dacharstwa i blacharstwa: „Higjena i wygody wewnątrz mieszkaniowych“, (łazienka, kuchnia, wygodka itp.) — M. Shernantt: „Asenizacja i usunięcie zapachów zapomocą ozonu“.

3). Wtorek, 22 lutego: „Dzień hotelarstwa“.

Dzień ten, mniej interesujący zwykle gospodynie, cały był poświęcony sprawom hotelarstwa współczesnego; najciekawszym był odczyt p. J. Laurent — inżyniera - doradcy: „Urządzenie elektro-mechaniczne współczesnego hotelu“.

4). Środa 23 lutego: „Dzień ogrzewania“, p. M. Carton, vice-prezes Izby Syndykalnej wodnego i parowego ogrzewania: „Studja wstępne do dobrej instalacji ogrzewania centralnego“; — p. M. Joyeux, inżynier rozpowszechnienia i stosowania gazu: „Kuchnia i ogrzewanie gazowe“; — M. Guerquin, dyrektor t-wa elektr.: „Zalety, wymagane od przyrządów do ogrzewania elektrycznego“.

5). Czwartek, 24 lutego: „Umeblowanie i dekoracje mieszkań“, p. H. Lévy: „Komfort, higjena i estetyka w umeblowaniu“, p. M. Frechet, dyrektor szkoły Boule: „Ewolucja mebli współczesnych od roku 1900“; p. M. G. Umbdenstock, architekt naczelny rządowy, profesor politechniki i Szkoły sztuk pięknych: „O kolorach i zdobnictwie“.

6). Piątek, 25 lutego: „Oświetlenie“. P. M. de Vallebreuse, dyrektor Towarzystwa dla Udoskonalenia Oświetlenia: „Racjonalne oświetlenia“; p. M. Maisonneuve: „Komfort przez światło elektryczne“; M. Reclus, szef biura oświetlenia publicznego: „Oświetlenie gazowe“.

7). Sobota, 26 lutego: „Narzędzia gospodarcze“. P. M. Tribot-Lapierre, sekretarz generalny Związku Syndykatów Elektrycznych: „Własny motor elektryczny“; p. M. Foucher, prezes Syndykatu Ogrzewania Elektrycznego i stosowania gospodarczego elektryczności: „Elektryczne narzędzia gospodarcze“.

8). Niedziela, 27 lutego „Uzdrowotnienie ogólne“. P. M. Fresson, administrator delegowany Biura Technicznego Ogrzewania: „O wentylacji“; p. M. Brandt, prezes Grupy Elektryczności na Jarmarku paryskim: „Warunki racjonalnego ogrzewania“; p. M. Boné: „Dekoracja powierzchni murów“; p. M. Knapen; „Zdrowotność domu współczesnego“; p. M. E. Devaux, inżynier - doradca, ekspert przy Radzie prefektury depart. Sekwany: „Ogrzewanie ciepłem powietrzem“.

Widzę już rozczarowanie całego szeregu miłych i kochanych czytelniczek „Bluszczu“: — gdzież tu gospodarstwo? gdzież tu kuchnia? gdzież tu jakieś dobre przepisy? smaczne potrawy? Co w tem wszystkim jest dla nas, — ściśle dla nas? — Otóż, mojem skromnem zdaniem, wszystko tutaj jest dla pani domu, bo jeżeli z dobrodziejstw większości nowych wynalazków — dla naszych skromnych a przesta-

rzałych warunków—jeszcze korzystać nie możemy, to wiemy, do czego dążyć mamy, czego żądać w sklepach, a co zatem idzie, od przemysłowców, fabrykantów, — czego wymagać przy budowie nowych domów, jak urządzać nasze mieszkania w tak rozpowszechnionych obecnie współdzielniach, — prawie jedynej formie budownictwa, pracującego dzisiaj. Że już odrazu wspomnę niskie sufity, wymagane przy udzieleniu pożyczki na budowę spółdzielni przez rząd, a to ze względów oszczędnościowych,—oszczędność tę będą przypłacały zdrowiem całe pokolenia mieszkańców kooperatyw, gdyż nie dosyć tego, aby kubatura budynku wypadło tanio, trzeba nie zapominać o tem, aby i kubatura powietrza było dostateczne przy naszym klimacie, gdzie siedzimy zamknięci w murach większą część roku.

Znowu odbiegłam od tematu, — wracam doń z przeproszeniem. Otóż bezpośrednio po Kongresie odbył się „Tydzień Nauki Gospodarczej i Kuchennej“. Złożyły się nań odczyty i pokazy różnych techników specjalistów, między innymi odczyt profesora, doktora E. Pomiana-Pozerskiego, o którego nowym systemie traktowania nauki kucharstwa pisałam obszerniej w Nr. 17, „Bluszczu“. Tydzień ten, czy to już kuchenny, został też otwarty przez p. Ministra Oświaty i Sztuk Pięknych, przyczem zakończeniem jego było rozdanie nagród laureatom Konkursu kucharskiego i gospodarczego w obecności tegoż Ministra. Opisanie tego interesującego tygodnia poświęcę jedną z najbliższych pogadanek.

Pani Elżbieta



WYSTAWA PSÓW RASOWYCH

Przyszliśmy za wcześnie. To jest, właściwie, nie my przyszliśmy za wcześnie, ale otwarcie wystawy było spóźnione. Podobno oczekiwano na jakichś ministrów, którzy, zresztą, nie przyjechali. Korzystając ze zwłoki, poszliśmy złożyć wizytę sąsiedzką koniom, jako że wystawa odbywała się w Tattersalu. Śliczne kości strzygły nerwowo uszami, zwracając ku nam swe wielkie, mądre oczy z wyrazem zdziwienia. — One nie mogą zrozumieć, dlaczego te psy tak wyją — objaśnił nas, śmiejąc się, stajenny. Ktoś przyszedł nam powiedzieć, że wystawa się otwiera, i to bez ministrów. Pośpieszyliśmy więc do sali jazdy, gdzie był harmider nie do opisania. Wycie, szczekanie na wszystkie tony, a przy tym niesamowitym akompanjamentem jakiś dobrowolny męczennik wykrzykiwał mowę, z której żadne słowo nie doszło do uszu zniecierpliwionej, napierającej na wstążkę publiczności. Nareszcie pozwolono nam wejść.

W sporej sali, w drewnianych, wysłanych sianem boksach — psy. Przedewszystkiem pointery: białe, nakrapiane czarno i brunatno, pointery angielskie, jakgdyby zrobione z czarnego, lśniącego atlasu, i prześliczne pointery czekoladowe. Jedne siedząc w swych skrzynkach, obszczekiwały publiczność, jakgdyby chciały jej nawymyślać. Inne leżały milczące, ponure, z wyciągniętym do ostatniej możliwości łańcuchem, lub odwra-

cały się pogardliwie, na znak protestu. Jeden, bardzo przystojny biały pointer, z którym się wdałam w rozmowę, położył mi łapy na ramionach i zaszczekał przeciągle; wyraźnie prosił: — odwiąż mnie, odwiąż! — Wielkiem powodzeniem cieszyła się pointerka, Aza, karmiąca coś dziewięcioro szczeniąt. Dystyngowane charty znoszą niewolę w pogardliwym milczeniu. Psy te nie budzą zainteresowania, ani sympatii; mają znaczenie wyłącznie dekoracyjne, sam ich widok przywodzi na myśl pałacowe krużganki i pudrowane markizy, przechadzające się pośród strzyżonych szpalerów. O ileż miłsze są śmieszne, arcyprzemysłne taksiki, na krótkich, przełamanych łapach, albo pocziwe kłapouchy setery, o zapowiadających wierność do śmierci, oczach. Ogólny zachwyty budziła przepiękna młoda wilczyca, w boksie, zaopatrzonym w napis: „ostroźnie — gryzie“. Leży zwarta w sobie, jakgdyby gotowa do skoku, mierząc publiczność dziwnie inteligentnym spojrzeniem. Wszelkie komplementy przyjmuje ostrzegawczym warknięciem, obnażającym ostre, białe kły. Psy policyjne umieszczono w klatkach, zaopatrzonych w nazwę, historję pochodzenia, oraz stopień wykształcenia każdego psa. Owi psi licencjaci nauk policyjnych zachowują się spokojnie i z godnością. Większość z nich śpi, widocznie zmęczona nużącą podróżą.

W klatce jednego z psów policyjnych przebywa stale duży, szary królik, podobno osobisty jego przyjaciela. Najwięcej hałasu robią małe pieski: impertynckie foksy, przekomiczne brodate terriery i śliczne, mądre spaniele. Brak moich ulubieńców: kosmatych, puszystych szpiców i zblazowanych buldogów. Ktoś z organizatorów wystawy upewnia, że jeszcze przyjad. Rzeczywiście, jest jeszcze sporo wolnych klatek. Niektóre właścicielki, tknięte spóźnioną skruchą, siedzą na sianie obok swych ulubieńców i, osypując je pieszczotami, starają się pogodzić z koniecznością rozłąki. Mam wrażenie, że żałują chwili próżności, w której zdecydowały się narazić wiernego przyjaciela na tak ciężkie przejście. W każdym, kto naprawdę lubi zwierzęta, budzą psie wystawy uczucie przykrości i niesmaku. Ta posiada ten plus, że ma trwać zaledwie cztery dni, więc tortury piesków nie będą długo trwałe.

Well.

„MODNE ROBOTY KOBIECE“

BOGATO ILUSTROWANY MIESIĘCZNIK

Każdy zeszyt stanowi oddzielną całość i daje sposoby wykonania najnowszych rodzaj robot kobiecych, oraz wzory naturalnej wielkości.

ZESZYT CZERWCOWY:

„NAJNOWSZE SPOSOBY OZDABIANIA SUKIEN“ — aplikacja, haft, liworyzacja.

ZESZYT LIPCOWY:

„NAJMODNIEJSZE SZALE“ szydełkowe i na widełkach.

ZESZYT SIERPNIOWY:

ARTYSTYCZNE TKACTWO BEZ WARSZTATU.

Cena zeszytu 2 Zł.

Adres Redakcji — Krakowskie Przedmieście 99.

Adres Administracji — Górnośląska 19.

ZASTOSOWANIE AMONJAKU W DOMOWYM GOSPODARSTWIE

Nie wszystkie panie wiedzą, a może nawet nie wszystkie się domyślają, jak bardzo pożytecznym środkiem w utrzymaniu porządku domowego jest amonjak. Rozcieńczony letnią wodą, zmiękcza i czyści wszelkie skóry. Mosiądze, jak: klamki u drzwi, śruby u pieców i okien, samowary i moździerz etc. odzyskują cały swój połysk, czyszczone suknem, maczanem w amonjaku. Aby przywrócić dywanom świeżą barwę, po oczyszczeniu ich starannie electroluxem z kurzu, należy przeczyścić je miotełką, maczaną w wodzie z małą ilością amonjaku. Okna bez porównania lepiej czyścić się amonjakiem, aniżeli mydłem; w tym celu należy do wiadra wody dolać 2 duże łyżki amonjaku. Kilka kropel amonjaku, dolanych do filiżanki ciepłej wody, oczyszcza doskonale plamy z obrazów. Tłuste plamy na odzieży dokładnie wywabi się, przykrywając je kawałkiem szwedzkiej bibuły, umaczonej w roztworze amonjaku z wodą, i prasując gorącym żelazkiem. Plamy z kwasów wywabia ekstrakt amonjaku, a potarcie następnie chloroformem przywraca pierwotny kolor. Naczynia srebrne i niklowe nabierają blasku i świeżości, wycierane od czasu do czasu flanelką, maczaną w ekstrakcie amonjaku. Stary, zniszczony mosiądz (spluwaczki) nabiera pozoru nowości, oczyszczony mocnym amonjakiem, a następnie oplukany w zimnej wodzie. Żółte plamy, powstałe z oliwy przy maszynie do szycia, wywabia się, wycierając je suknem, maczanem w amonjaku, a następnie zmywając czystą wodą z mydłem. Amonjak, połączony z terpentyną, czyści najstarsze plamy na odzieży; w tym celu należy je kilkakrotnie natrzeć mieszaniną terpentyny z amonjakiem, a potem przepłukać w gorącej wodzie z mydłem. Jeżeli chcemy dobrze oczyścić szciotki i grzebienie do czesania, jak również miotełki i szciotki do czyszczenia z kurzu i brudu, — należy je zanurzyć w litrze wody, zmieszanej z łyżką amonjaku (oprawy szciotek nie zanurza się w płynie). Następnie płócze się czystą wodą i suszy na słońcu, albo w dobrze ogrzanej miejscy. Flanelowe i wełniane kołdry, zanurzone w wiadrze przestudzonego odwaru mydlika, zmieszanego z łyżką amonjaku, bez wielkiego zachodu i wycierania nabierają białości, miękkości i nie kurczą się. Łyzeczka amonjaku na łyżkę stołową wody czyści doskonale wyroby złote i srebrne; kilka kropel czystego amonjaku, wpuszczonych na spodnią stronę brylantu, oczyszcza go i dodaje mu blasku.

J. S.



Przepisy Gospodarskie



MAKARON Z BESZAMELEM

Dwie łyżki mąki pszennej zasmażyć na biało z dwiema łyżkami tłustego masła, rozprowadzić litrem niezbianego mleka, osolic, gotować mieszając, aż dobrze gęstnieć zacznie, (jak bardzo zawieszisty sos). Kto lubi, może dodać trochę gałki muszkatołowej.

Czterdzieści deka niegrubego makaronu włoskiego („spaghetti“) ugotować w osolonej wodzie, niedogotowując go zupełnie, — powinien po przełamaniu być nieco twardy w środku, — odcedzić, włożyć na powrót w rondel, zalać łyżką topionego masła i posypać garścią ostrego, tartego sera. Przetrzeć mocno, wymieszać z połową bechamelu. Ułożyć na wysmarowanym masłem półmisku, pokryć resztą bechamelu, osypać grubo tartą bułeczką z serem, skropić masłem i wstawić na kwadrans w piec dobrze gorący, aby się po wierzchu uformowała rumiana skorupka. Podawać gorący wprost z pieca.

CEBULE DUSZONE

Wyborne, bardzo delikatne w smaku, a u nas prawie nie używane na jarzynę, hiszpańskie cebule, (hodowane zresztą w kraju), lub, w braku hiszpańskich, duże, tak zwane cukrówki. Sześć takich dużych cebul (wagi około 1 kilo) obrać z łupinek. W płaskim rondelku rozpuścić łyżkę masła, na to ułożyć cebule, zasmażyć przez pięć minut, osolic po wierzchu, podlać rosołem mięsny, lub wprost wodą, aż na pół palca od brzegu rondla, poczem przykryć pokrywą i dusić, często potrząsając rondelkiem, aby do dna nie przystało, tak długo, aż cebule zupełnie zmiękną, a sos się wysadzi do trzeciej części objętości. Podawać na oddzielnej jarzynę, okładając grzaneczkami z bułki, przysmażonemi na masle, lub też podać jako garnitur do baraniny, wieprzowiny, czy wołowiny pieczonej, lub duszonej.

KONFITURY CYTRYNOWE

Wyborne konfitury, które amatorom cytryn łatwiej na wsi, gdzie o nie trudno, świeże cytryny zastąpić mogą.

Zważyć kilo cytryny, nastawić w zimnej wodzie, gotować, aż zmiękną tak, że je palcem przetknąć

można, odcedzić, ułożyć na pergaminie, przykryć poduszką, lub złożoną kołdrą, aby, wolno stygnąc, nie stwardniały.

Na kilo cytryn ugotować ulep z półtora kilo cukru; cytryny pokrajać ostrym nożem w równe plastry, starannie odrzucając pestki, wrzucić na syrop i gotować na bardzo wolnym ogniu, aż się staną przezroczyste. Gdy gotowe, dopiero wtedy zszumować, dodać na kilo konfitur pastylkę benzoesu, rozpuszczoną w łyżce gotowanej wody. Ostudzić i zimne składać w słoiki, obwiązując, jak zwykle, pergaminem.

KONFITURY RÓŻANE

Zaczynające się rozwijać pączki lub dopiero co rozwinięte kwiaty róży centyfolji, czy cukrowej — pobicinać nożyczkami w taki sposób, aby żółte końce u nasady listków przy gałązce pozostały. Listki te wsypać do makotry, zasypać cukrem i ucierać wałkiem, aż się stanie jednolita masa zacisnąć sokiem cytrynowym, (trzy cytryny na kilo róży). Tymczasem ugotować ulep: — na kilo róży należy wziąć trzy kilo cukru, licząc już razem z tym, który użyliśmy do ucierania róży, — biorąc dwie szklanki wody na kilo cukru. Na gotujący się syrop rzucamy różę i smażyemy na wolnym ogniu, aż listki staną się zupełnie przezroczyste.

Na każde kilo konfitur rozpuścić w łyżce gotowanej wody jedną pastylkę benzoesu i dodać do konfitur, nie gotując już więcej. Gdyby róża nie była dosyć aromatyczna, dodać na kilo konfitur jedną kroplę olejku różanego. Dla koloru można dodać do gotowych konfitur parę kropel koszenili, lub roślinnego karminu, albo też, gotując syrop, dodać do wody połowę soku, wyciśniętego z czerwonych porzeczek. Po dokładnem ostudzeniu składać w nieduże słoiki, gdyż raz zaczęte, konfitury różane tracą łatwo aromat, stanowiący ich największą zaletę.

SORBET RÓŻANY

Pół kilo listków różanych ze świeżo rozpuszczonych kwiatów, obranych z żółtych koniuszków, utrzeć w makutrze na masę z pół kilo cukru. Wycisnąć sok z sześciu cytryn, unikając dotknięcia skórki cytrynowej, aby nie zepsuć aromatu róży; dodać tyle wody, aby były trzy szklanki płynu. Zalać tym płynem dwa kilo cukru, dodać dwie szklanki soku, wyciśniętego na surowo z czerwonych porzeczek. Zagotować, wrzucić utartą różę, gotować na silnym ogniu, próbując po kropli na zimnym spodku, — gdy się płyn zacznie galaretować, przelać do fajansowego naczynia i ucierać wałkiem, lub drewnianą łyżką, aż zbieleje i zgęstnieje. Zanim zupełnie zastygnie, przelożyć do małych słoiczków. Gdyby nie był dosyć aromatyczny, dodać przy ucieraniu kroplę olejku różanego.

Dr. med. J. ŚWITALSKA

ZAWIADAMIA ŻE W LIPCU PRZEBYWAĆ BĘDZIE W GDYNI. W WARSZAWIE ZASTĘPUJE JĄ W ORDY-

NACJI I ZABIEGACH KOSMETYCZNYCH ASYSTENTKA PRZEZ LIPIEC OD 5 - 7 KRUCZA 31

DOBRE RADY

Dużo lepiej jest czyścić maszyny do szycia benzyną, niż naftą. Rozsrubować maszynę, wszystkie części, smarowane zazwyczaj oliwą, napuścić benzyną, puścić maszynę w ruch na kilka minut, a jak się benzyna wszędzie dostanie, a skrzepla oliwa rozpuści, wytrzeć starannie miękkim gałgankiem, całą naoliwić świeżą oliwą i zaśrubować,

* * *

Warunkiem utrzymania wałków od wyzmaczki w porządku jest nie trzymać jej w zbyt suchym miejscu, więc albo w suchej piwnicy, albo w wilgotnej spiżarni, okrytą szczelnie pokrowcem z płótna. O ile przechowywana jest w zbyt suchym miejscu, to wałki gumowe zychają się i stają się niezdatne do użytku. Śruby stalowe u wyzmaczki smarować naftą, a nie oliwą.

KORESPONDENCJE

Pani H. G. Poznań. Przesyłamy Sz. Pani żądany przepis na kit przezroczysty do sklejanie szkła:

We flakoniku ze szklanym korkiem, hermetycznie zamykanym, zmieszać 50 grm. chloroformu z 75 gramami gutaperki, pociętej na drobniutkie kawałki. Pozostawić gutaperkę do rozpuszczenia. Skoro rozpuści się zupełnie, dodać do niej 15 gramów mastyksu — (żywica żółtawa, półprzezroczysta, której dostać można w aptece). Pozostawić to wszystko na ośm dni, wstrząsając niekiedy buteleczką; a po upływie tego czasu klej będzie gotów do użycia.

Obie części stłuczonego przedmiotu, zupełnie suche, posmarować, związać sznurkiem, lub ścisnąć równo w rękach, przynajmniej pięć minut, póki klej nie zeszywnieje zupełnie. Pozostały klej trzymać szczelnie zamknięty, bo się ulotni. Wrazie stwardnienia kleju, wstawić buteleczkę w ciepłą wodę, a rozpuści się.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Elżbieta Ż. i Wanda W. z Sosnowca. Z powodu nieprzysłania adresu, odpowiedź nie może być umieszczona na łamach „Bluszczu”. Odpowiedź, co do tłustych włosów, oraz dolegliwości cery będzie umieszczona dopiero po nadesłaniu dokładnego adresu. Na listy anonimowe nie wysyłamy odpowiedzi.

KTO CHCE PRZYGOTOWAĆ PRARTYCZNE ZAPASY ZIMOWE, MUSI NABYĆ KSIĄŻECZKĘ

p. t.

„JARZYNY NA ZIMĘ“

W opracowaniu p. ELŻBIETY.

CENA 1 zł. 50 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Czytelniczkom „Bluszczu” kosztów przesyłki nie liczymy.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

Stała prenumeratorka „Bluszczu” Jadwiga D. Bez podania adresu nie odpowiadamy. Blizna pooperacyjna (keloid) może być usunięta zapomocą diatermji. Nigdy nie można być pewnym, czy nastąpi tylko poprawa, czy zupełne usunięcie.

Ogólna odpowiedź: pielęgnacja biustu. Zanik pięknego biustu daje się powszechnie zauważyć; kształt i wielkość biustu ma ogromne znaczenie w urodzie kobiecej. Biust może być za duży, lub za mały, asymetryczny (najczęściej prawa pierś większa od lewej). Biust piękny powinien być nieduży i jędrny. Żadne środki zewnętrzne nie wpływają na kształt, ani też na wielkość i jędrność biustu. Jedynie masaż, odpowiednio wykonany, daje cudowne rezultaty. Masaż powinien być stosowany przez dłuższy okres czasu. O ile zachodzi różnica wielkości biustu, to masaż może poprawić ową różnicę, ale idealnie nie wyrówna. Masaż biustu można nauczyć się wykonywać samej, nie jest to trudne, wymaga niedużej siły, jedynie systematyczności i cierpliwości. Wszelkie reklamowane środki, kremy, pigułki, o ile nie są szkodliwe, pomóc absolutnie nie mogą. Obecnie we Francji przy pielęgnowaniu biustu, prócz masażu i gimnastyki, używa się natrysków wodnych, specjalnym przyrządem 2 razy dziennie po półtorej minuty wodą pokojową z dodatkiem perełek alkalicznych. Natryskuje się obie piersi osobno. Następnie wyciera się do sucha bardzo szybko. Zabieg ten mogą stosować kobiety zdrowe i zahartowane. W Polsce kultura ciała obecnie stoi tak nisko, że specjalnych przyrządów do pielęgnacji biustu niema. Narazie można go zastąpić zwyczajnym rozpylaczem.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna	zł. 3.50
suknia zwyczajna	„ 2.50
bluzka	„ 2.00
formy dziecinne	„ 2.00
bielizna	„ 1.50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących: obrus — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu”, nie wysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

KAŻDA KOBIETA USZYJE I OZDOBI SAMĄ SWOJĄ BIELIZNĘ, JEŻELI KUPI KSIĄŻECZKĘ

p. t.

„Wykwintna i praktyczna bielizna“

CENA 1 zł 50 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Czytelniczkom „Bluszczu” kosztów przesyłki nie liczymy.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW
Redakcja i Administracja, Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Tel. 244-75.

Druk, Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-18.